czas. 1242/2/2

ROK II. NR. 2
WARSZAWA
SOBOTA
13-I-1934 R.
CENA 50 GR.

# PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

JAN DÜRR

## PLAN DRAMATU WYSPIAŃSKIEGO O DYMITRZE SAMOZWAŃCU

Zły stan zdrowia nietylko fizycznie uniemożliwiał Wyspiańskiemu pisanie, lecz chorobliwie podniecał wyobraźnię, której nieustanny napór nie dozwalał stworzyć żadnego dzieła.

Każdy plan rozsadzał niepohamowany napływ inwencji dramatycznej. Poecie niepodobna było ująć w słowa swych wizyj. Ledwie się mogły skrystalizować scenarjusze, przyoblec w szatę wiersza luźne cząstki, a już wyobraźnię jego porywały nowe pomysły. Odwiedzającym go znajomym opowiadał o coraz to nowszych planach dramatów.

Wtedy, trafnie wiedziony instynktem artysty, znalazł dla swej fantazji ograniczające brzegi, które ją mogły ująć i spokojnie w jednym kierunku poprowadzić. Tem łożyskiem, którem miał popłynąć strumień natchnienia, była historja, źródła dziejowe, dokumenty, kroniki, diarjusze, w które zagłębił się z całą pasją, ponieważ krępowały ponoszącą go wciąż fantazję. W ten sposób, psychologicznie wytłumaczony, powstał ów zwrot od dramatu fantastyczno - mitologicznego do dramatu historycznego, którego wynikiem jest dramat o Zygmuncie Auguście, fragmenty i plany dramatów o Kazimierzu Jagiellończyku, o Jadwidze, o roku 1846.

Zapoczątkowała ten nowy kierunek kilkoletnia, w r. 1904 zaczęta, praca nad „Tragedją moskiewską" Dymitra Samozwańca. Niejako na marginesie studjów nad źródłami historycznemi do tej tragedji, a obejmujące mi i epokę Stefana Batorego, zostały napisane fragmenty dramatyczne o Samuelu Zborowskim. Żadnego z tych dramatów nie zdołał jednak Wyspiański wykończyć.

Już w czasie pisania „Nocy listopadowej" nasunęło się Wyspiańskiemu zestawienie W. Księcia Konstantego i Joanny Grudzińskiej z Dymitrem Samozwańcem i Maryną Mniszchówną. Na wzór Maryny uczynił z uległej i pozbawionej ambicyj politycznych, ks. Grudzińskiej podnietę, rozpalającą w Wielkim Księciu utajone w głębi duszy pragnienie zdobycia korony polskiej, rozwiązując w swym dramacie tajemnicę wpływu jej na Konstantego, co dla współczesnych było już wielką zagadką. Powstała w ten sposób nowa i oryginalnie ukształtowana kreacja dramatyczna Joanny.

Zainteresowanie się poety dziejami Dymitra i Maryny, wzbudzone doszukiwaniem się w nich analogji, nie przeminęło po wydaniu „Nocy listopadowej" (15 czerwca 1904), lecz stało się podłożem dalszych zamierzeń twórczych. Wyobraźnia poety zwróciła się znowu do epoki, objętej przez pierwsze ogniwa młodzieńczej twórczości: „Batorego pod Pskowem" (fragment dramatu) i „Królowę Polskiej Korony" (Sluby Jana Kazimierza).

Nawet wyjazd na kurację do Bad-Hell (część lipca — sierpień 1904) nie przerywa studjów nad tym okresem dziejów, jak świadczy wzmianka w liście do Adama Chmiela (1 sierpnia [1]): „Czytałem tutaj również dwa tomy wspomnień księdza Czermińskiego Jezuity z „Grecji, Krety, Patmosu i Efezu"... Wolę ks. Piotrowskiego o Batorym i wyprawie pod Psków" [2]).

Dowcipny polsko - niemiecki wierszyk Wyspiańskiego, przesłany (7 sierpnia) z Bad-Hell (jako list do A. Chmiela) nie jest tylko zabawną igraszką językową, ale odsłania sprawy, głębiej obchodzące poetę.

DYMITR

Był u mnie ktoś, direkt von Wien,
z Galicji jednak rodem,
zachęcał, bym szedł śmielej — hin
utartym, — szerszym chodem.

Ein Mann von pleine Intelligenz,
aux traits d'un Hofschauspieler,
radził, bym kiedy skończył też
den Dimitri von Schiller.

To może być genjalna rzecz,
ogromne mieć znaczenie;
w Burgu protekcję przyrzekł dać,
bym ujrzał to na scenie.

Nie ulega wątpliwości, że — jak dowodzą i dalsze jeszcze zwrotki tego wierszyka — jest on odgłosem rzeczywistej rozmowy poety z kimś o zamiarach pisania dramatu o Dymitrze. Wyspiański poczuł się urażony radzeniem mu dokończenia dramatu Schillera wówczas, gdy on już postanowił napisać własnego Dymitra. Tych wielkich planów dotyczą zapewne słowa listu, równocześnie wysłanego pod tym samym adresem: „Ładuję powoli drabiniasty wóz moich myśli, aż z nim wjadę znów do Krakowa".

W grudniu 1904 roku dramat o Dymitrze ukształtował się już tak dalece w wyobraźni poety, że mógł napisać do niego coś w rodzaju komentarza od autora.

Komentarz ów, jako wkładkę luźną i niezwiązaną ściśle z treścią, wytkniętą, umieścił w tekście rozprawy o Hamlecie (z grudnia 1904 r.). Właściwie jedynym motywem pomieszczenia tam ustępu tego jest zestawienie zdarzeń tragedji szekspirowskiej z współczesnemi jej wypadkami rzeczywistości. Na wzór „Not do „Bolesława Śmiałego" można by ustęp ten nazwać „Notami do „Tragedji moskiewskiej"; taki bowiem tytuł obmyślił już dla dramatu. Pisał tam m. in.: „Zastanawiającem wydaje mi się, że gdy w tej tragedji Szekspira może i zgoła nie ma żadnego oddźwięku współczesnej wielkiej historji i dziejów rzeczywistych, — któreby w tragedji tej przecież się wydobyły, — to właśnie równocześnie, gdy Szekspir dramat ten budował w latach 1601 — 1604 buduje się i rozgrywa na wielkim świecie: dramat i tragedja, równie wiele zagadek obejmująca, zagadek Hamleta godnych, — to: Tragedja Moskiewska: Godunowa, Fiodora, Dymitra Samozwańca, nad którą unosi się Duch: Iwana Groźnego".

Zrobił więc Szekspirowi niemal zarzut, że nie napisał, zamiast o Hamlecie — dramatu o Dymitrze. Chociaż się zastrzegł, że nie temat, lecz opracowanie go przez artystę przesądza o wartości utworu. „Niczego więcej przez to zestawienie nie chcę powiedzieć, — ale nie mogę się oprzeć — Zestawieniu. I zestawiać, sądziłbym, tylko Sztukę i dzieło myśli artysty — ze samą już tylko rzeczywistością wydarzeń. — I powiedziałbym: że ku czemu doszła i co myślą osiągnęła dusza artysty, a więc co z tajemnic odgadła Sztuka — to działo się równocześnie na wielkiej Scenie świata.".

Nie wiedział zapewne Wyspiański, że bodaj za życia jeszcze Dymitra, bo bez świadomości o jego uzurpatorstwie, napisał o nim dramat inny wielki poeta, Lope de Vega: El gran duque de Moscovia y Emperador persequido (wydany jednak w r. 1617), w którym przedstawił, myląc się zresztą co do osób, historję Dymitra, z wyjątkiem samej katastrofy upadku, której jeszcze nie znał. Szczególnie interesujące są dla nas sceny w akcie III, przedstawiające dwór królewski w Polsce i zakochaną Marynę Mniszchównę (nazwał ją Małgorzatą), którą widzimy na balkonie zamku wawelskiego.

Ponieważ Szekspir nie napisał dramatu o Dymitrze, postanowił zrobić to sam Wyspiański. „Tragedja moskiewska" miała być utworem godnym „Tragicznej historji o Hamlecie"; powstała nieomal z rywalizacji z Szekspirem. Drogę Szekspirowską wskazał mu jeszcze w latach młodzieńczych Józef Szujski, którego dramat „Maryna Mniszchówna" (1875) w typie szekspirowskich historyj znał dawno (zakreślił je, jako znane sobie, obok dramatu „Śmierć Władysława IV" (1876) w książce Tad. Grabowskiego: „Poezja polska po roku 1863", Kraków 1903).

Dowód, że Wyspiański zajął się poważnie dziejami Dymitra stanowią książki, świadczące o specjalizowaniu się w tym temacie, które znajdowały się w jego bibljotece, lub które były przezeń poszukiwane.

Poeta zebrał szereg dzieł, na których chciał się oprzeć, odtwarzając, jak mówi: w Studjum o Hamlecie: „Wielkie tło dramatyczne zdarzeń, dramat sam poprzedzające, (które) maluje dwóch Tytanów, zmagających się jakoby w pojedynku ariostycznym, dwóch tytanów w pojedynku o władzę nad

---

[1]) Miesięcznik Liter. i Artyst. Nr. 2. 1911, str. 128.

[2]) X. Jana Piotrowskiego: „Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków" (Wyd. A. Czuczyński) Krak. Spółka Wyd. Pol. 1894. Dzieło to posiadał poeta, jak świadczy data na zachowanym egzemplarzu w Muz. Nar. w Krakowie, od r. 1902.

TREŚĆ:

JAN DÜRR
PLAN DRAMATU WYSPIAŃSKIEGO O DYMITRZE SAMOZWAŃCU
WŁ. POBÓG-MALINOWSKI
PIŁSUDSKI W TOKIO
KAROL IRZYKOWSKI
DYSKUSJA W AKADEMJI LITERATURY: O PROGRAMACH NAUKI JĘZYKA POLSKIEGO
OLGIERD GÓRKA
„OGNIEM I MIECZEM" A RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA
JULJAN PRZYBOŚ
LIPIEC
S. R. DOBROWOLSKI
PRZEKŁAD WIERSZA M. LERMONTOWA
DZIENNIKARZ, CZYTELNIK I POETA
MARJA DĄBROWSKA
LAUREATKA ZA 1933 R.

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN
K 1243/84/11

STEFAN BATORY

państwami dwoma: Batorego i Iwana". Aby więc poznać unoszącego się nad „Tragedją moskiewską" ducha Iwana Groźnego, sprowadził dzieło: „Les origines de Russie moderne: Ivan le Terrible", par K. Waliszewski (Cinquième Edition), Paris (Plon) 1904, którą sygnował w r. 1905 swoim podpisem i datą (w bibljotece poety w krakowskiem Muzeum Narod.). Znalazłszy w prospekcie, wydrukowanym na okładce tej książki, dalsze interesujące go dzieła, zakreślił i oznaczył gwiazdką jako szczególnie ważne: „La Russie et le Saint-Siège. Etudes diplomatiques" — t. II, „Arbitrage pontifical. Projets militaires de Bathory contre Moscou. — Le Tsar Fedor et Boris Godounov", par le P. Pierling, S. I. oraz t. III: „La Fin d'une dynastie. — La Légende d'un empereur. L'Apogée et la catastrophe. — Les Polonais au Kremlin", par le P. Pierling, S. I.

Dwa wszakże dzieła świadczą już najwyraźniej o pracy Wyspiańskiego nad dramatem o Dymitrze. Przechowała się książka (z pieczęcią jego bibljoteki, w Krak. Muz. Nar.): „Historja wojny moskiewskiej" przez Mikołaja Ścibora z Marchocic Marchockiego, wydana w Poznaniu 1841, na której karcie tytułowej wypisał wersalikami w taki sam sposób, jak pisał zwykle na rękopisach tytuły owych dramatów: DYMITR. Nie z tej książki jednak, z której przeczytał tylko 37 stron, czerpał materjał do dramatu. Plany swoje oparł na podstawowej monografji Aleksandra Hirschberga: „Dymitr Samozwaniec", Lwów 1898, która również przechowała się w jego bibljotece.

Książka ta stała się dla Wyspiańskiego niemal tem, czem dla Szekspira Kronika Holinsheda. Sposób, w jaki Wyspiański korzystał z niej, dowodzi, że akcja dramatu miała się pokrywać w znacznej mierze z historją wypadków rzeczywistych. Poeta utwór swój „budował", postępując torem wypadków, opowiedzianych przez Hirszberga, jako kronikę dramatyczną, ujętą w liczne, krótkie sceny, odpowiadające treści epizodów i momentów ściśle historycznych. Grupował je zaś, posługując się przy tej pracy oryginalną metodą: wyrywając karty z różnych książek historycznych, łącząc je odpowiednio i uzupełniając w ten sposób, by sceny dobierane miały wielostronne źródłowe dopełnienie. Tak zebrawszy materjał, przystępował do udramatyzowania relacyj historycznych.

Wyrwy, dokonane jego ręką, w liczbie kart książki Hirschberga, a zawierające właśnie opisy szeregu najważniejszych wydarzeń, są jakby odbiciem zamiarów poety i pozwalają nam w pewnem przybliżeniu zrekonstruować plan dramatu jego o Dymitrze.

**Rekonstrukcja scenarjusza dramatu o Dymitrze.**

W notach do „Tragedji moskiewskiej" podał sam Wyspiański coś jakby streszczenie początku akcji dramatu: „A potem w samym już przebiegu dramatu ta dziwna postać Fiodora, te dziwne wiadomości o dorastającym Dymitrze, — o śmierci tegoż Dymitra, to znów o tegoż Dymitra ocaleniu, — to ciągłe pojawianie się Dymitra w coraz to innej postaci, — te coraz dziwniejsze z rokiem każdym wieści i niepokój Godunowa; Godunow, który całą rolę Klaudjusza może w każdym wierszu uznać za swoją, — ten młody Fortynbras zbierający roty ochotnicze z różnych zakątków... Norwegji, — te dziwne na niebie i ziemi zjawiska, zupełnie jak przed śmiercią wielkiego Juljusza, gdy Rzym u szczytu stał swojej potęgi".

Stronice 17 — 22, wyrwane przez poetę z książki Hirschberga, obejmują właśnie fakty wspomniane w streszczeniu poety. Widzielibyśmy więc Dymitra, niedawnego czerńca, później zaś ucznia szkoły arjańskiej w Hoszczy, jako dworaka u księcia Adama Wiśniowieckiego w Brahimie. Przypuszczenie to potwierdzają, znajdujące się w bibljotece poety, „Szkice historyczne" Wacława Sobieskiego (Warszawa 1904) mieszczące studjum. „Pierwszy protektor Samozwańca". Następnie miał przypuszczalnie Wyspiański zużytkować wiadomości o wypadkach w Moskwie: o śmierci cara Fiedora, o obraniu jego następcą Borysa Godunowa (poeta wyrwał str. 1—2 z książki Hirschberga, obejmujące te wydarzenia, i z „Historji wojny moskiewskiej" Marchockiego str. 11—12), o głodzie i niezwykłych zjawiskach przyrody przed wystąpieniem tajemniczego syna zmarłego cara.

Dalszy przebieg akcji obejmowałby prawdopodobnie (o czem świadczy wyrwanie str. 39—42) pobyt Samozwańca w Krakowie: jego audjencję 15 marca 1603 r. u króla Zygmunta III i zawarcie tajnego układu. Ujrzelibyśmy więc na scenie, przedstawiającej komnatę pałacu wawelskiego, senatorów, wymienionych przez Hirschberga i zapewne Mniszcha, którego poeta teraz wprowadzał. Na tem samem tle przedstawił też poeta może i posłuchanie Dymitra i Mniszcha u nuncjusza Rangoniego oraz intrygi z Jezuitami krakowskimi; ks. Piotr Skarga mógł się także znaleźć w tem gronie (odnośne strony 45—48 wyrwał poeta z dzieła Hirschberga). Materjał, zaczerpnięty do tej sceny z monografji Hirschberga, jest bardzo plastyczny do udramatyzowania. Taką np. mowę Dymitra u króla, streszczoną przez Hirschberga, wystarczyło przyoblec w rymy, jak poeta robił to, pisząc inne dramaty, by wprowadzić bez większych zmian do swego utworu.

W dalszym toku dramatu jedna ze scen miała, sądząc z wycięcia str. 61—62, przedstawiać kontrakcję cara Borysa w Moskwie. Wspaniałą oprawę sceniczną stanowiła zapewne w projektach poety makieta, odtwarzająca wnętrze sali w Kremlu, zwanej „Granowitaja pałata", której fotografję znalazł poeta w dziele Hirschberga (str. 224). Występować miała w tej scenie zakonnica Marfa, matka carewicza, którą Borys sprowadził do Moskwy.

Scena następna odbywała się może znowu w Polsce, na zamku w Samborze, u Mniszchów. Poeta wyrwał kartę 65—66 z opisem biesiady pijackiej, w czasie której nasłani przez Borysa mordercy uczynili nieudany zamach na Dymitra. Dekoracja teatralna miała może przedstawiać wnętrze bogatej izby stołowej, t. zw. królewskiej na zamku, którego szczegółowy opis zamieścił Hirschberg w swem dziele. W tej scenie ukazałaby się zapewne Maryna Mniszchówna.

Miał również Wyspiański zamiar pomieścić w dramacie akcję, odbywającą się w obozie Dymitra.

Poeta wyrwał str. 69—70, ponieważ zainteresowały go szczegóły wzięcia udziału w wyprawie dwu Jezuitów i podjęcie stosunków z kolegjum jezuickiem lwowskiem. Jeden z momentów akcji mogło stanowić także przyjęcie w Glinianach, 9 września 1604 r., poselstwa od kozaków dońskich, oświadczających się po stronie Samozwańca i przyprowadzających więźnia, dworzanina, wysłanego do nich z Moskwy, który złożył Dymitrowi ciekawe zeznania.

Wyrwał też Wyspiański str. 79—80 z opisem zwycięskiej bitwy 31.XII.1604 pod Nowogrodem Siewierskim z wojskami, wyprawionemi przez Borysa. Może sprawy z Jezuitami, wypadki z 9 września i 31 grudnia zamierzał poeta połączyć w jednej odsłonie: W obozie Dymitra? Przypomina się tego typu scena w obozie Batorego pod Pskowem, napisana jeszcze w latach szkolnych.

Motywów do zbudowania scen prawdziwie szekspirowskich dostarczyły poecie str. 101—2 z obszernym opisem trwogi cara Borysa, zrozpaczonego złemi wieściami i szukającego rady i pociechy u czarownicy Heleny. Zamierzał może poeta rozwinąć również przed oczyma widzów ponury obraz tajemniczej (otrucie się?) śmierci Borysa, nadzwyczaj dramatycznie przedstawiony w monografji polskiego historyka (poeta wyrwał str. 107—110). Moglibyśmy widzieć w tej scenie patrjarchę i władyków, odprawiających modły nad konającym, oraz syna jego i następcę Fiedora.

Projektował też może poeta scenę, opartą na str. 121—122, z przedstawieniem wypadków, które rozegrały się w najwspanialszej sali Kremlu „Granowitoj pałatie", dokąd się schronił car Fiedor z matką i siotrą, sądząc, że gdy siedli na tronie, tłum się nie ośmieli rzucić na niego, co z dużą ekspresją opisał Hirschberg. W tej scenie miał wystąpić pewnie Bogdan Bielski, któremu powierzono na żądanie ludu zarząd Kremlu.

Dalszy materjał, zebrany z wyrwanych kart, dotyczył punktu kulminacyjnego dramatu. Sceny miały przedstawiać najwyższy triumf Dymitra. Widzieliśmy więc go w „Granowitoj pałatie" na tronie, przyjmującego hołd bojarów. Na wyrwanej przez poetę karcie 129—30, opisującej tę scenę, znajduje się streszczenie przemowy Bogdana Bielskiego do tłumu o prawowitości Dymitra, którego sam niegdyś miał ocalić od zamordowania; zapewne poeta zamierzał wpleść to przemówienie w wątek dramatu.

Szczęście chyli się do nóg bohaterowi w scenach przybycia do Moskwy matki Dymitra, Marfy (co oparte mogło być na wyrwanych str. 139—140) — w scenie, przedstawiającej rokowania o zawarcie sojuszu posłów Zygmunta III do cara z dumnymi bojarami (str. 249—250) — oraz w scenie (str. 253—256) pertraktacyj z Jezuitami, których Dymitr w rozmowie z ks. Sawickim w „Granowitoj pałatie" stara się pozyskać; wchodzi bowiem w ścisłe porozumienie z przewódcami malkontentów polskich, chcących mu oddać koronę w Polsce.

Jezuici mieli, zdaje się, odgrywać dużą rolę w dramacie; domyślać się tutaj należy wpływu na Wyspiańskiego poglądów historyka Józefa Szujskiego, który potępiał ich za hypokryzję, intrygi, egoizm i wstecznictwo.

Materjałów do finału dramatu mogły dostarczyć str. 263—266 z opisem katastrofy: śmierci Dymitra w czasie napadu nocnego sprzysiężonych, pod dowództwem niedawno ułaskawionego Wasila Szujskiego, na Kreml. Losy Polaków, towarzyszących Dymitrowi, których wielu zginęło w rzezi, w nocy z 26-go na 27-go maja 1608 r. również zainteresowały poetę.

Bardzo ciekawy moment dramatu mógł być oparty o stronice 137—138 (wyrwane) przedstawiające złagodzenie — już po odebraniu hołdu bojarów, w chwili triumfu — wyroku Szujskich, skazanych na śmierć za przygotowywanie spisku przeciw Dymitrowi. W scenie tej występowałby zapewne najzaufańszy jego doradca, sekretarz Jan Buczyński, który wskazywał niebezpieczeństwa tej wspaniałomyślności. Łagodność Dymitra, twierdzącego Buczyńskiemu: „Ślubowałem Bogu strzec się rozlewu krwi moich poddanych i uczynię temu zadość", stała się powodem jego upadku, zgotowanego mu później przez tych samych Szujskich.

Jedną z najważniejszych scen w „Weselu" jest sc. 9 aktu II, w której ukazuje się Rycerz-Moc. Na utworzenie tego symbolu miał wpływ nietylko Nietzsche, Słowacki, ale i Stańczycy, w których programie wyraz siła był hasłem antiromantyzmu. Za takiego rycerza mocy uważał Wyspiański — patrząc na tę postać oczami Józefa Szujskiego — Stefana Batorego; takim miał być i Dymitr. — Czytając ks. Piotrowskiego „Dziennik wyprawy Stefana Batorego", wyrwał poeta te karty, gdzie mowa o mocy, rządności i srogości króla Stefana oraz jego hetmana, Jana Zamoyskiego.

Tragedję Dymitra widział Wyspiański w tem, że potrafił wytężyć z siebie ogromną moc w czasie zdobywania władzy, ale po osiągnięciu tronu okazał dziwną słabość. Tę słabość poeta uznał za polską w nim cechę. Duchowi polskiemu Dymitra stanął wpoprzek drogi duch moskiewski, duchowi chrześcijańskiemu, tak pogłębionemu w szkole arjańskiej w Polsce — mongolski. Już Lope de Vega w swoim dramacie o Dymitrze wskazał, że knut ma rządzić w Moskwie. W ten sposób dramat osobisty, jednostkowy — chociaż i w tej jednostkowości ogólnoludzki — urósł w ramach dziejowych, w koncepcję historjozoficzną. Perypetja w dramacie polegałaby na kontraście między chwilami najwyższego triumfu a ostatnią dolą bohatera, w której odczuć można w pełni igranie losów i całą kruchość doli ludzkiej.

Uderzyć musi każdego, że gdyby Wyspiański rzeczywiście oparł się na materjale, przygotowanym sobie z wyrwanych kart książki Hirschberga, to Maryna Mniszkówna prawieby nie występowała w dramacie; chyba tylko w scenie w Samborze. Część monografji Hirschberga, zawierającą historję małżeństwa Maryny, pominął poeta w całości. Wynika z tego, że dramat o Dymitrze nie miał za podłoże żadnych spraw miłosnych i wolny był on od elementów romansowych; dlatego też musiał poeta odrzucić romantyczną koncepcję jednego z historyków rosyjskich, P. D. Iłowajskiego, że zalotna i ambitna Polka poddała domownikowi Jerzego Mniszcha zuchwały zamiar udawania zabitego Dymitra i tak dalece zawróciła głowę biednemu szlachcicowi, iż chcąc być godnym jej ręki, postanowił zostać nawet carem w Moskwie (por. str. 275—6).

IWAN GROŹNY

Wyspiański widział w historji Samozwańca epizod pojedynku o władzę nad państwami dwoma, zaczętą przez Batorego i Iwana, a przez Batorego przekazanego w spadku nieślubnemu synowi. Przyjął bowiem, jak się zdaje, efektowną koncepcję Hirschberga, który twierdził, [1]) że Dymitr był synem z nieprawego łoża Stefana Batorego. Dlatego starał się poeta doszukać pomiędzy nimi podobieństw co do charakteru i w tym celu tak dokładnie studjował Stefana Batorego. Przyjmując tę hipotezę, a nawet może opierając na niej swój dramat, zwrócił Wyspiański szczególną uwagę na dokładne zebranie wszystkich rysów charakteru Dymitra. Wyciął z dzieła Hirschberga całą końcową, syntetyzującą charakterystykę Dymitra Samozwańca (str. 275—282) i dłuższe wzmianki o jego charakterze zamieszczone w toku opowiadania wypadków historycznych (str. 103—6; 147—150).

Dlaczego Wyspiański tego utworu, do którego tak pracowicie gromadził materjał, nie wykończył? — bo chyba nie ulega wątpliwości, że pisać go zaczął.

Czy poecie, który śmiało zgłębiał najbardziej zamierzchłą przeszłość Polski, zabrakło ostatecznie sił, gdy miał wyjść poza jej granice? Czy skrępowało go jedno wyraźne uczucie, które miał dla carskiej Rosji: wstręt i nienawiść? „Nienawidzę, więc daru przyjąć nie mogę"... odpowiedział, gdy mu ofiarowano album pamiątkowy artystów rosyjskich. Ale przecież równie silna nienawiść do ducha rosyjskiego pozwoliła Józefowi Conradowi napisać: „W oczach Zachodu". Zdaje się, iż Wyspiański czuł, że ma dosyć powierzchowną, bo książkową jedynie znajomość Rosji i duszy rosyjskiej niezupełnie rozumie. Z tego powodu bał się powiedzieć o Rosji coś konwencjonalnego i — zwlekał z wykończeniem.

Jednemu ze swych uczniów radził, aby „chować rzecz napisaną do szuflady, a dopiero po jakimś czasie odczytać. Zobaczy się wyraźnie, czy trzeba napisać wszystko nanowo, czy miejsca niektóre tylko poprawić". Temu losowi w szufladzie uległ przypuszczalnie i niewykończony dramat o Dymitrze Samozwańcu. Potem zaś stało się z nim zapewne to, co z drugą częścią „Pana Tadeusza" Mickiewicza: z szuflady powędrował w ogień, kiedy poeta całe stosy swych papierów kazał spalić, czując się bliskim śmierci.

[1]) Opierał się na Konrada Bussowa: „Relatio, d. i. sammarische Erzählung..." „Reram rossicarum scriptores exteri", t. I, str. 19 i 63.

[2]) Por. Tymon Niesiołowski: Wspomnienia o Stanisławie Wyspiańskim, Sztuki Piękne, Nr. 11, 1932.

WŁADYSŁAW POBÓG - MALINOWSKI

# JÓZEF PIŁSUDSKI W TOKIO

II

W długotrwałej podróży poprzez kontynent amerykański i dwa olbrzymie oceany było dość czasu na zastanowienie się nad sposobem postępowania w Japonji. Cel jasno i wyraźnie określony został jeszcze przed wyjazdem z kraju; teraz — w samotnych najczęściej przechadzkach po pokładzie okrętu — ustalał Piłsudski ostatecznie szczegóły planu działania i zastanawiał się nad treścią memorjału, który Japończykom, oddzielonym ogromną przestrzenią, powiedziałby prawdę o istocie wewnętrznych spraw rosyjskich oraz o wartości i znaczeniu Polski, tak fatalistycznie z Rosją związanej.

W rozważaniach swych i argumentach wychodził Piłsudski z założenia, że Rosja napozór tylko jest państwem jednolitem; oficjalne wykazy statystyczne rozmyślnie identyfikują narodowość z wyznaniem religijnem i na tej sztucznej podstawie zaliczają do „rdzennych" Rosjan dwie trzecie całej ludności, a więc zdecydowaną większość; cyfry te jednak należy znacznie zmniejszyć, mieszczą się w nich bowiem obok prawosławnych Ukraińców, Białorusinów, Gruzinów, Ormian liczne grupy etnicznie nic wspólnego z prawosławiem nie mające, jak np. nawpół dzikie plemiona północne, syberyjskie, środkowo-azjatyckie, lub też spora część Polaków, Litwinów, Białorusinów, gwałtem na obrządek wschodni nawróconych, lecz trzymających się uparcie wyznania katolickiego. Przy takiej redukcji na rdzennych Rosjan przypada mniej, niż 45% ludności. Nie powinien ujść uwagi również i fakt, że w ogromnej rzeszy narodów, stanowiących całość imperjum rosyjskiego, bardzo nieliczne tylko (Ukraińcy, Polacy) dochodzą do kilkunastu miljonów; bezwzględna ich większość waha się w granicach od kilkuset tysięcy do paru miljonów, stanowiąc w każdym poszczególnym wypadku niewielki odsetek ludności państwa. Tę niewątpliwą pstrokaciznę narodowościową powiększają czy raczej pogłębiają jeszcze bardziej istniejące różnice w stopniu kultury i cywilizacji — obok Polski, Litwy, Finlandji, Łotwy, krajów o kulturze ogólno-europejskiej i o wysoko rozwiniętej strukturze społecznej, występują znacznie niżej pod tym względem stojący Rosjanie, Ukraińcy, Tatarzy i narody kaukaskie lub też zgoła dzikie plemiona jakutów, burjatów czy kirgizów. I ten właśnie brak jednolitości w państwie stanowi największą jego słabość. Rząd rosyjski wie o tem dobrze i doskonale zdaje sobie z tego sprawę; to też osią jego polityki wewnętrznej jest system rusyfikacyjny, mający na celu zatarcie różnic kulturalno-narodowościowych, zlanie całego imperjum w „rdzennie" rosyjską masę. Kultura moskiewska jednak dla większości narodów nie ma siły atrakcyjnej; wszędzie zresztą, wśród najmniejszych nawet narodowości pod wpływem czynników zewnętrznych, budzi się świadomość odrębności; rusyfikacja w dodatku prowadzona jest w sposób okrutny i barbarzyński, to też ogólne niezadowolenie wzrasta coraz bardziej. Na wszelkie przejawy tego niezadowolenia patrzeć trzeba przedewszystkiem jako na siłę rozkładową. Co prawda, niektóre narody — małe, niezbyt w kulturze posunięte, czy pozostające w początkowych stadjach rozwoju opozycyjnego sprawić dla rządu mogą kłopot niewielki, łatwo usuwalny; mimo to jednak istniejące tu niezadowolenie w pewnych warunkach może być z powodzeniem wyzyskane w walce z centralizmem rosyjskim. Zresztą — pozostaje niewątpliwie wielka siła opozycyjna w postaci Polaków, Litwinów, katolickich Białorusinów, Łotyszów, Finlandczyków, Ormian i Gruzinów. Wszystkie te narody srodze cierpią z powodu polityki rusyfikacyjnej, ta bowiem łamie i niszczy cały ich dobytek kulturalny; wszystkie też uważają rząd rosyjski za obcy, gwałtem sobie narzucony; pod względem kulturalnym stojąc znacznie wyżej od zaborców, mogą one wytworzyć stałą opozycję, która przy sprzyjających okolicznościach rozbić może państwo carskie — oderwać odeń poważną część dotychczasowego stanu posiadania.

Z pomiędzy tych właśnie narodów na pierwszym planie postawić należy Polskę. Bo 1) Polacy liczebnie przewyższają inne z wymienionych narodów, w dodatku posiadają decydujące wpływy na Litwie i Białorusi, oraz wśród znacznej części Żydów i Łotyszów, 2) Polacy mają najwyższe aspiracje polityczne, najbardziej są w walce z Rosją zaangażowani i najdalej posuwają swą bezwzględną wrogość w stosunku do państwa rosyjskiego; 3) Polacy mają ogromne doświadczenie rewolucyjno-organizatorskie, nabyte w stuletniej walce z Rosją, czego brak zarówno Finlandji, jak i Kaukazowi; 4) ruch rewolucyjny w Polsce stanowi poważną siłę zorganizowaną i wreszcie 5) Polacy, najsilniejsi ilościowo, a obok Finlandczyków najbardziej kulturalni, rozsypani w dodatku po całem państwie w charakterze urzędników, oficerów, kupców, inżynierów, rzemieślników, odgrywać mogą wśród narodów wymienionych rolę łącznika kulturalnego i politycznego. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, stwierdzić można, że gdy inne narody zdobyć się samodzielnie mogą jedynie na stawianie rządowi przeszkód, na sprawianie mu kłopotów, — Polacy potrafią doprowadzić wypadki do otwartej walki i pociągnąć za sobą resztę ujarzmionych przez Rosję narodów.

Prawda, w Polsce — w kraju o starej kulturze — istnieją różne, nawet sprzeczne ze sobą kierunki myślowe; pod względem politycznym różnią się one przedewszystkiem stosunkiem do Rosji — jedni dążą wyraźnie do rozbicia państwa rosyjskiego drogą walki zbrojnej, licząc przytem nietylko na siły polskie, lecz także na pomoc, na współdziałanie innych, przez Rosję ujarzmionych ludów; drudzy zamykają się w granicach stawiania przeszkód rządowi w jego zamiarach i posunięciach rusyfikacyjnych; inni wreszcie łudzą się nadzieją uzyskania znacznych ulg za cenę pokory i uległości. Można jednak z całą pewnością twierdzić, że w zasadzie wszyscy są za zupełną niepodległością ojczyzny, że wszyscy wrogo są względem Rosji usposobieni; stuletnie prześladowania i ustawiczne walki z Rosją wyrobiły w Polsce silną i głęboką solidarność narodową — w razie otwartej walki z odwiecznym wrogiem całe społeczeństwo, z wyjątkiem niewielkiej grupki ludzi, zaprzedanych rządowi, stanie do współdziałania z kierownictwem ruchu insurekcyjnego.

Stronnictwem szczerze rewolucyjnem, stronnictwem, które dąży do rozbicia Rosji, a w wypadku zbrojnego porywu społeczeństwa skupi w swoim ręku nici kierownicze, jest Polska Partja Socjalistyczna. W obecnym momencie budzi ona niezadowolenie z rządów carskich wśród ludności polskiej i doprowadza to niezadowolenie do największego napięcia przez systematyczną, stałą agitację zapomocą żywego i drukowanego słowa; łączy wyborowych ludzi w tajne organizacje i związki, pokrywające swoją siecią kraj cały; wzmacnia związek organizacyj polskich na przestrzeni całej Polski — bez względu na istniejące kordony; poza granicami kraju budzi P. P. S. separatystyczne dążenia wśród narodów, podbitych przez Rosję, podtrzymuje i wspiera ruch rewolucyjny w rdzennej Rosji, wreszcie organizuje Polaków, pozostających na obczyźnie.

Za okoliczności, sprzyjające akcji czynnej i umożliwiające ją, uważała P. P. S. zawikłania wewnętrzne w Rosji, równoznaczne z osłabieniem jej potęgi i powagi, oraz konflikt zbrojny z mocarstwem sąsiedniem. W wypadku pierwszym rolę główną odgrywałby ruch przeciwrządowy w rdzennej Rosji. Ze względu na panujące stosunki trudno byłoby przypuszczać, by urzeczywistnienie dążeń opozycji i rewolucji rosyjskiej odbyć się mogło na drodze pokojowej. Musiałaby nastąpić ostra walka między rządem a częścią „poddanych" niezadowolonych. P. P. S. mogłaby w walce takiej wziąć czynny udział, zależnie od okoliczności występując pod sztandarem bądź to zupełnego oderwania się od Rosji, co pokrywałoby się z istotą jej dążeń politycznych, bądź też zdobycia możliwie daleko idących swobód politycznych i narodowościowych. Trudno byłoby jednak brać poważnie w rachubę możliwości takich powikłań — ruch rewolucyjny w Rosji, mimo nader szybkiego rozwoju w latach ostatnich, nie posiada jeszcze takiej siły, by mógł wystąpić do otwartej walki z rządem; liczy on więcej, niż na siły własne, na naturalny żywiołowy bieg rzeczy, na zwiększające się niezadowolenie, na coraz wyraźniejszy rozkład samowładztwa. Zresztą niemałą przeszkodą i trudnością dla P. P. S. byłyby centralistyczne tendencje, przeważające wśród opozycji rosyjskiej w stosunku do narodów nierosyjskich.

Co do konfliktu zbrojnego z mocarstwem sąsiedniem, to P. P. S. dotąd brała w rachubę jedynie ewentualne powikłania europejskie. Nagle jednak wybuchła wojna na Dalekim Wschodzie. Przebieg jej wpłynął już wyraźnie na stan wewnętrzny państwa rosyjskiego — rozkład jego postępuje szybko naprzód. Wśród opozycji rosyjskiej jednak zapanowało pewne przygnębienie i niechęć do otwartego wystąpienia przeciw rządowi. Patrjotyzm, przez wojnę podniecony, przez władze zaś starannie rozdmuchiwany, zmusza opozycjonistów do ostrożności i oględności; zaznaczyli oni nawet zupełnie wyraźnie, że odkładają swój rachunek z rządem na czasy powojenne; w działalności obecnej ograniczają się do krytyki postępowania władz oraz wykazywania jego nieudolności.

Wśród narodowości nierosyjskich natomiast klęski rosyjskie na Dalekim Wschodzie wywołały wielkie podniecenie i pogłębiły skłonność do czynniejszej, niż dotąd, walki. Zwycięstwa japońskie burzą coraz gruntowniej legendę o niespożytej potędze Rosji. W serca ludzkie wstąpiła nadzieja — powszechnie oczekuje się gruntownych zmian politycznych; wielu ludzi, dotąd stroniących od udziału w ruchu przeciwrządowym, śpieszy z pomocą rewolucjonistom. Najmocniej zjawiska te odczuć się dają w Polsce.

Sytuacja ta w naturalnej konsekwencji *prowadzić musi do sojuszu pomiędzy Japonją a Polską*. Japonja znaleźć może nad Wisłą zaprawionego w walce z Rosją sojusznika, Polska liczyć może na poparcie i pomoc Japonji w osiągnięciu swoich planów. Wojna toczona — bez względu na jej wynik — nie doprowadzi do trwałego pokoju; klęska Rosji osłabić ją może dla powtórnej walki, nie obezwładni jej jednak na czas dłuższy, ani też nie zatrzyma jej w zaborczym pochodzie ku Oceanowi Spokojnemu. Tem bardziej więc, tem silniej narzuca się myśl o sojuszu japońsko-polskim. Sojusz taki jednak napotyka niemałoważne przeszkody. Przedewszystkiem Japonja i Polska bardzo mało znają się wzajemnie; oddzielone od siebie ogromną przestrzenią, pozbawione bezpośredniego związku ekonomicznego, nie mają szans do zbliżenia się i poznania na drodze zwykłych stosunków i interesów. Pozatem ta sama odległość i geograficzne położenie wytwarzają pewną sprzeczność interesów pod względem militarnej pozycji wspólnego nieprzyjaciela — Japonja chciałaby mieć jak najmniej wojska rosyjskiego obok siebie, w interesie Polski zaś leży, by siła militarna Rosji ześrodkowana była przy dalekiej granicy wschodniej. Niemałe znaczenie dla sojuszu mają różnice w położeniu politycznem. Japonja jest państwem, uznanem przez świat cały, i ma potężnych sojuszników. Polska — przeciwnie, jest krajem podbitym, nie ma więc żadnych resursów, będących w rozporządzeniu państw niezależnych; wszelka akcja polska musi z konieczności nosić charakter tego, co prawo określa mianem zdrady stanu. Położenie to daje Japonji łatwość jego wyzyskania, dla Polski zaś — stwarza olbrzymie trudności. Sprzeczność interesów wyrasta już i teraz wyraźnie — Japonja dążyć musi do jak najszybszego zakończenia wojny, Polska — przeciwnie, radaby przeciągnąć ją jak najdłużej, by Rosja dostatecznie osłabła, a Polacy mieli więcej czasu na przygotowanie się do walki i wzmocnienie szeregów rewolucyjnych.

W granicach takich myśli układał się plan postępowania w Japonji, z tych samych myśli wyrastał i memorjał, który Piłsudski postanowił złożyć władzom tokijskim...

III.

Jak wspomniałem już, do Jokohamy przybył Piłsudski z Filipowiczem 10 lipca około godziny 10 wieczorem. Pierwszą noc w granicach Japonji — ze względu na ulewny deszcz i szalejącą wichurę — spędzono na statku. Nazajutrz rano, wraz z lekarzami „od kwarantanny", przybył z lądu ubrany po cywilnemu major Inagaki, na krótko przedtem odwołany z Londynu, gdzie pełnił funkcje pomocnika czy zastępcy attaché wojskowego. Po powitaniu, po wymianie nieodzownych grzeczności i komplementów — ruszono na ląd. Po godzinnem wyczekiwaniu na stacji kolejowej odjechano do Tokio. Tu, na dworcu kolejowym, oczekiwał już powóz. Z „szykiem" więc przejechano przez ulice stolicy do „Seysken Hotel" w Uyeno-parku. Hotelik był japoński, po europejsku jednak urządzony. Grzeczny mjr. Inagaki przepraszał za ewentualne niewygody, tłumaczył się jednak życzeniem gości, którzy jeszcze w Londynie prosili o ulokowanie w dzielnicy japońskiej — ze względów konspiracyjnych, w celu uniknięcia niepotrzebnego spotkania z „białymi". Hotelik jednak okazał się siedzibą zupełnie znośną, bardzo czystą, przyjemną nawet — dookoła park, z okien widok na ogród i staw, pokryty olbrzymiemi różowemi kwiatami, w parku świątynia — olbrzymi, kamienny Budda udzielał opieki hotelikowi.

Jadąc do Japonji, wiedział Piłsudski, że zastanie już tam Jamesa Douglasa, młodego polaka z Ukrainy, członka sekcji lwowskiej P. P. S.; przybył on tu w maju, jako korespondent lwowskiego „Słowa Polskiego"; dziennik ten obcy mu był ideowo; celem istotnym jego wyjazdu i pobytu w Japonji było nawiązanie bezpośrednich stosunków z Japończykami oraz zaopiekowanie się jeńcami Polakami, którzy mogli stanowić bardzo wdzięczny objekt agitacji w duchu P. P. S. W drodze o Douglasie myślano, jako o jedynym w Japonji przedstawicielu polskiej myśli politycznej. Jakżeż wielkiem więc być musiało zdziwienie, gdy bezpośrednio po przybyciu do Tokio na liście gości hotelu Metropole, umieszczonej w „Japan Times", ujrzano nazwisko Romana Dmowskiego.

Cofanie się przed przeciwnikiem politycznym nie leży w naturze Piłsudskiego — postanowił on odrazu odwiedzić go tegoż jeszcze dnia. W tym celu po południu udał się wraz z Filipowiczem do hotelu Metropole. Spotkanie jednak przypadkowo nastąpiło na ulicy. James Douglas w liście z 27 lipca 1904 do W. Jodki tak opisuje tę chwilę: „Po lunchu wyszliśmy obaj na spacer z zamiarem odebrania na poczcie listów i gazet. W pewnej chwili widzę jadących dwóch Europejczyków na kurumajach i w nich poznaję Ziuka i Karskiego [1]). Rozpaczliwie oglądam się dookoła i zwracam uwagę Dmowskiemu, na wystawione w oknie sklepowem czerepy gliniane, zapytując go, czy to też jest „cloisonnée". A ci nas tymczasem mijają... I byłoby się udało, ale Ziuk zatrzymał swego kurumaja, wysiadł i poszedł w naszym kierunku. Dmowski zwrócił na to uwagę, chwilę intensywnie patrzył na Ziuka, potem zdecydowanie podszedł do niego i wyciągnął rękę. Poznał"...

Skąd, w wyniku jakich zabiegów ukazał się Dmowski w Tokio? Wyżej wspominałem już, że przy pomocy Finlandczyków weszła N. D. w bezpośrednie stosunki z rządowemi sferami japońskiemi. Pertraktacje rozpoczął i w imieniu stronnictwa prowadził Dmowski już w lutym — w tym bowiem czasie widział się on w Krakowie z jednym z dygnitarzy japońskich. Pertraktacje te jednak pozytywnych rezultatów nie dały — świadczą o tem wszystkie późniejsze jego zabiegi. Do Tokio nikt go nie zapraszał. Pieniędzy, potrzebnych na podróż, udzielił Seweryn Jung, przedstawiciel burżuazji polskiej, pełnej strachu przed rewolucją i wielkiej troski o rynki wschodnie i związane z niemi „szczęście" ojczyzny. Listów polecających nie było — pisał przecież Dmowski do Milkowskiego 14 marca 1904: „Nie mam żadnych listów polecających do Japonji i nie widzę tu sposobu dostania ich. Jedynym człowiekiem, który — zdaniem mojem — mógłby mi pomóc, jest pułkownik Smoleński w Waszyngtonie"...[2])

Wyjazd Dmowskiego do Japonji — to najjaskrawszy bodaj przykład dwulicowości

---

[1]) Pseudonim partyjny T. Filipowicza.

[2]) Oryginał w zbiorach Muzeum Rapperswilskiego w Warszawie.

ówczesnej N. D. w stosunku do Skarbu Narodowego, zbieranego wszak na walkę zbrojną o niepodległość — albo też przykładem konspirowania przywódcy, Dmowskiego, przed własnem stronnictwem. W znalezionem przezemnie w Muzeum Rapperswilskiem sprawozdaniu Komitetu Centralnego stronnictwa do Komisji Nadzorczej Skarbu Narodowego w Rapperswilu za r. 1904. mówi się najogólniej o „wysłaniu do Japonji komisarza pełnomocnego, celem zadzierzgnięcia stosunków w sposób bezpośredni na miejscu, zapoznania się z charakterem nowego dziejowego wroga Rosji i pozyskania specjalisty od tych spraw w łonie organizacji". Rzecz ciekawa i charakterystyczna — Komitet Centralny nie wie tu jeszcze nic o właściwym celu podróży. Najwidoczniej Dmowski — spiritus movens polityki siedzenia pod miotłą, marzący o utworzeniu „rozumnie" ugodowego stronnictwa, Dmowski, odprawiający z kwitkiem ludzi, którzy zgłaszali się doń, ofiarowując pieniądze, potrzebne na prowadzenie bardziej żywej polityki, Dmowski, cieszący się w duchu i w gronie najbliższych przyjaciół, że za jego przyczyną stronnictwo jego nie wydało odezw ani w momencie przyjazdu cara do Warszawy, ani w chwili odsłonięcia pomników Murawjewa i Katarzyny w Wilnie — nie był pewien, jak zabiegi jego przyjęte zostaną przez stronnictwo: tu bowiem, mimo wyraźnych kroków w kierunku ugody, niechęć do Rosji była jeszcze dość silna, zaś sojusz i korzystanie z zapomóg przedstawicieli przemysłu, którego „orjentacja" polityczna nie cieszyła się jeszcze całkowitem uznaniem, mogły wywołać jeśli nie burzę, to sprzeciw silny i wyraźny. Uosobienie „dojrzałej myśli" i „męskiej woli" działa więc w tajemnicy — inne plany ma się w głowie, inne przedstawia się otoczeniu. Jakżeż wymowny jest pod tym względem cytowany tu już list jego do Z. Miłkowskiego: „Do Japonji jadę w celu zorjentowania się w sytuacji politycznej na Dalekim Wschodzie, a także nawiązania pewnych stosunków"... Ciekawe, prawda? Nieprzejednany na punkcie niepodległości i walki zbrojnej Miłkowski wyciągać musi z tych ogólników wnioski najbardziej pocieszające... O właściwym celu podróży Komitet Centralny dowie się w kilka miesięcy po powrocie Dmowskiego do kraju — w międzyczasie sytuacja ulegnie zmianie, Dmowski w dodatku zdąży na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego" odegrać rolę „specjalisty", „bardzo miarodajnego źródła", zapewniającego, że „rząd tokijski, który zresztą o właściwym stanie kwestji polskiej lepiej jest powiadomiony, niż wielu polityków europejskich, jako taki nie będzie podejmował żadnej pokątnej akcji, obliczonej na Polskę, którąby zresztą jemu nie na wiele się przydała, a nam mogła przynieść wielką szkodę". Dopiero po wtłoczeniu tego rodzaju pewników w głowy swego otoczenia uznaje Dmowski za możliwe powiedzieć prawdę o swej podróży: w sprawozdaniu do komisji nadzorczej Skarbu Narodowego z r. 1905 przytacza motywy, w niczem nie przypominające tych, z jakiemiśmy się spotkali w sprawozdaniu poprzedniem: „wysłanie przedstawiciela do Japonji miało na celu przedewszystkiem poinformowanie tamtejszych sfer państwowych o obecnym stanie kwestji polskiej i o właściwem położeniu rzeszy w Rosji oraz **zabezpieczenie się z tamtej strony od prób wywołania ruchawki na naszym gruncie.** Obawy w ostatnim kierunku, jak się okazało, nie były płonne, Japończycy bowiem weszli byli w tym celu w stosunki z socjalistami polskimi"... Zabezpieczał się Dmowski memorjałem, który — po **bezskutecznych prośbach o audjencję** — złożył ministrowi spraw zagranicznych w Tokio z datą 20 lipca 1904 r.; w memorjale tym starał się on przekonać ministra m. in. o tem, że powstanie w Polsce przyniosłoby szkodę za ówno Polsce, jak i Japonji, byłoby korzystne tylko dla Rosji, ta bowiem w obawie wybuchu polskiego trzyma nad Wisłą silną armję. Powstanie polskie — wywodził Dmowski — zostałoby stłumione krwawo i szybko, a wówczas Rosja wszystkie siły, więzione dotąd w Królestwie, przerzuci na front japoński... Widzimy więc, że w Tokio starły się dwie orjentacje polskie: jedna, reprezentowana przez Piłsudskiego, a stojąca na gruncie rewolucyjnej walki niepodległościowej", i druga, reprezentowana przez Dmowskiego, a „odrzucająca hasło walki zbrojnej z Rosją", dwie orjentacje biegunowo przeciwne. Podróż Dmowskiego i pobyt jego w Tokio to nietylko „ratowanie" „ginącej" Polski, to przedewszystkiem ciężki kamien potępienia, rzucony przez niego we własną pierś, za całą działalność poprzednią — za broszury o treści powstańczej, za rewolucyjne odezwy, za agitację niepodległościową do r. 1901 włącznie...

IV

W godzinach rannych 12 lipca mjr. Inagaki w galowym mundurze przybył do hoteliku w Uyeno-parku i poprosił Piłsudskiego i Filipowicza do sztabu generalnego. Tam oczekiwał już na nich generał Muratu, wyznaczony do tych pertraktacyj. Był to szpakowaty już, lat około 50 liczący, bardzo miły i uprzejmy oficer, były komendant fortecy w Sasebo i attaché wojskowy w Petersburgu. Po wielu pełnych grzeczności zapytaniach o wygody hotelowe, po uprzejmych wskazówkach co do przyjemnego spędzania czasu w Tokio — Muratu oświadczył, że jeńcy Polacy w obozie w Matsuiyamie są już od jeńców innych narodowości oddzieleni, że rząd robi w tym zakresie wszystko, co może, że wreszcie można każdej chwili obóz ten odwiedzić. Piłsudski po podziękowaniu podkreślił konieczność możliwie najszybszego załatwienia wszystkich spraw. To pierwsze spotkanie jednak miało na celu wzajemne poznanie się. Stosując się do życzenia Piłsudskiego, Muratu wyznaczył konferencję na pojutrze i po rozmowie o ogólnem położeniu Rosji i Polski oddał gości pod opiekę urzędnika ministerstwa spraw zagranicznych Kawakami, późniejszego pierwszego posła japońskiego w Warszawie.

Dzień następny wypełniły wizyta Kawakami, któremu wręczono przytem opracowany w drodze memorjał, projekt umowy polsko-japońskiej, trochę broszur propagandowych i sporo wycinków gazetowych, — oraz spotkanie i rozmowy w ministerstwie spraw zagranicznych. Yomazy, dyrektora departamentu spraw politycznych, nie zastano — musiał wyjechać do umierającego brata. Wiceminister powitał przybyłych nader serdecznie, z właściwą Japończykom grzecznością i uprzejmością, wysłuchał ich dążeń i prośby o przyśpieszenie sprawy. W dniu następnym — wobec przesunięcia konferencji u Muratu, — Piłsudski odbył długą, bo aż dziewięciogodzinną rozmowę z Dmowskim — ten ostatni trzymał się uparcie swoich tez i zgodził się jedynie „z przyjemnością" na pogląd, że rola N. D. powinna polegać na zbieraniu owoców polityki rewolucyjnej, prowadzonej przez P. P. S.

W dniu 15 lipca, w ciągu trzygodzinnego posiedzenia u gen. Muratu — przyczem Kawakami, władający doskonale językiem rosyjskim, występował w charakterze tłumacza—omówiono punkt po punkcie memorjał i projekt umowy. W sprawie dostarczenia Polsce broni generał wyraził wątpliwość, czy wogóle można takie rzeczy sprowadzać: „Siejczas wied' gradonaczalnik budiet znat'" — powiedział. Bardzo długo przykładami trzeba było go przekonywać o możliwości i praktyczności zadania. Piłsudski powołując się na doświadczenie i praktykę rewolucyjną, zaproponował nawet, by Muratu wybrał się sam, lub by wysłał kogoś do Europy, a pepesowcy przeszwarcują go przez granicę tak, że „gradonaczalnik" nic wiedzieć nie będzie; tam, w Rosji, większe i śmielsze rzeczy leżą w granicach realnych możliwości. Pełen niedowierzania Muratu, bardzo sceptycznie jednak potraktował tę propozycję. Co do powstania zbrojnego w Polsce, to podkreślając jego znaczenie dla Japonji, stwierdzał Piłsudski konieczność zwłoki — wybuchnąć ono może w momencie widocznego, niewątpliwego osłabienia Rosji; wybuch poprzedzić musi praca przygotowawcza — przedewszystkiem stworzenie zapasów broni. W sprawie wstawiennictwa dyplomatycznego i podniesienia kwestji polskiej na konferencji pokojowej, Muratu odesłał do ministerstwa spraw zagranicznych, prosząc o ponowne zgłoszenie się do niego w tej sprawie. Utworzenie legjonu polskiego po stronie japońskiej przeciw Rosji, uznane przez Muratu zostało za kwestję do zastanowienia się i przemyślenia; po paru dniach jednak ustosunkował się do niej negatywnie dla braku, jak powiadał, dostatecznych powodów. Wyraźną zgodę uzyskano jedynie na wydzielenie w osobną grupę jeńców Polaków (sprawę tę poruszył już R. Dmowski, a przed nim i niezależnie od niego Polacy amerykańscy), oraz na dopuszczenie do obozu polskiego J. Douglasa oraz wszelkich wydawnictw polskich. Cała ta konferencja sprowadzała się właściwie do wyjaśnienia poszczególnych punktów i w tym celu, by Muratu mógł je przedstawić wyższym sferom do rozpatrzenia. Propozycje i zobowiązania polskie w zakresie zorganizowania pracy informacyjnej i działalności dywersyjnej na tyłach armji rosyjskiej, bardzo Japończykom się podobały. Któż jednak zechciałby przyjmować na siebie jakiekolwiek zobowiązania, nie otrzymując nic wzamian?

Już na podstawie tej konferencji u Muratu stwierdzić było można, że akcja na terenie Japonji skończyć się musi niepowodzeniem. Istotnie — po paru dniach, po bezskutecznych rozmowach w ministerstwie spraw zagranicznych, Muratu zakomunikował decyzję odmowną, zlekka zaznaczając, czy dając raczej do zrozumienia i odczucia, że jest w Japonji jedna tylko osoba, która mogłaby decyzję tę zmienić. Ale marszałek Oyama, o którym myślał Muratu, przebywał w dalekiej Mandżurji — jeśli Piłsudski i Filipowicz zechcą tam pojechać, Muratu nie odmówi swej pomocy, postara się o wszelkie możliwe ułatwienia. Piłsudski jednak postanowił z uprzejmości tej nie korzystać — podróż musiałaby trwać kilka tygodni, a nadziei na pomyślne załatwienie niema — Oyama przecież wyjechał z Tokio, nafaszerowany pełnemi niewiary poglądami i przekonaniami memorjału Dmowskiego. Twierdził on przecież, że powstanie zbrojne w Polsce nie może sprowadzić na Japonję nic, prócz katastrofy, podkreślał, że sprawa polska jest dopiero w fazie do ujawnienia się w polityce europejskiej, że dojrzeje dopiero za kilka lat; rzeczą najważniejszą wobec takiego stanu jest według niego, aby rząd japoński nie dał się wciągnąć do popierania jakichkolwiek niewczesnych zamiarów i pomysłów polskich. Zresztą działały tu i inne wpływy — stwierdzić, przekonać się na każdym kroku było można, że Japończycy nie znają zupełnie ani Polski, ani jej spraw, że nie doceniają jej znaczenia w wewnętrznej polityce rosyjskiej, że mają wogóle niedokładne i bardzo mgliste wiadomości o istotnym stanie Rosji. Później stwierdzono, że i ambasador angielski przestrzegał rząd tokijski przed angażowaniem się w sprawę polską — nie na rękę byłyby Anglji rozruchy na kontynencie. Pocieszyć się w tem niepowodzeniu można było chyba niezwykłą grzecznością i uprzejmością, komplementami i nieschodzącym, jak zwykle, z ust japońskich uśmiechem.

Cały stosunek rządu japońskiego do P. P. S. i jej roli pełen był szacunku i powagi, czego nie można powiedzieć o potraktowaniu Dmowskiego, który audjencji u M. S. Z. mimo zabiegów i starań nie uzyskał.

Tak tedy — po nieudanych zabiegach i staraniach — postanowiono wracać do kraju. Czas oczekiwania na okręt skrócono wyjazdem do Jokohamy w nadziei szybszego otrzymania poczty oraz dwudniową wycieczką na górę Fudżi, skąd wrócono z oryginalnemi certyfikatami z pieczęciami, imieniem i nazwiskiem, wypisanem pięknem klinowem katakana. Na inne wycieczki czasu było dość — brakowało tylko pieniędzy, 250 yen albo tyleż rubli przy niezapłaconym jeszcze hotelu i perspektywie podróży przez dwa oceany — to mniej, niż mało. W związku z tem był tu nawet projekt „wędrowania etapami" — z Jokohamy do Honolulu, stamtąd do San-Francisko, wreszcie do Chicago — w każdej z tych miejscowości jest przecież jakaś zabłąkana, gościnna i uczynna dusza pepeesowa. Były też i żarty na temat „rozpaczliwych kroków" w rodzaju wpakowania się do skrzyni i wysłania przez Douglasa frachtem — jak tu jednak zdobyć się na krok taki, skoro na własne oczy stwierdzano, że takich „podróżników" bezczelnie odkrywają i dostawiają do portu, z którego się wyprawili, — a w porcie konsekwencje nie bardzo przyjemne. Tak! — śmiano się — otóż to! nowoczesny kapitalizm zabija wszelkie indywidualne porywy!

W istocie jednak nie było aż tak źle. Muratu, przez cały czas traktujący Piłsudskiego i Filipowicza, jako gości rządu japońskiego, w chwili ostatecznego pożegnania zwrócił się do nich z prośbą o przyjęcie pieniędzy na pokrycie kosztów podróży, Piłsudski jednak pieniędzy przyjąć nie chciał — prosił raczej o kupienie biletów.

Przed odjazdem postanowiono zjeść z Douglasem i przydzielonym do niego Japończykiem — Koki Hirota, późniejszym posłem w Moskwie — pożegnalne, prawdziwie japońskie śniadanie. Piłsudski — pisze w liście swoim Douglas — nasłyszawszy się w Tokio „o nadzwyczajnym smaku specyficznie japońskiego przysmaku — surowej ryby, zażądał, by była i taka ryba, i wszystko w najlepszym gatunku, i koszta — obojętne. Zrobione — po 4 jeny od osoby. W oznaczonym dniu mój gospodarz wyniósł ścianę, odgradzającą pokój Hiroty od mego, przez co utworzyła się sala, i od rana w całym hotelu panował ruch niezwykły. Pokój mój przybrano w liczne kakemono (podłużne obrazki na jedwabiu) i kwiaty, uprzątnięto łóżko, stół i krzesła, przyniesiono nowe, eleganckie hibaczi (skrzynka z popiołem, w którym pod żelaznym trójnogiem tli się węgiel drzewny — do gotowania wody na herbatę) oraz parę malutkich stoliczków z rzeczywiście ładnej laki, rzucono na maty 4 poduszki płaskie z lila jedwabiu — słowem, pokój przybrał wygląd odświętny. Gospodarz włożył strój uroczysty z godłem swego cechu na ramionach, służba też — w nowych kimonach, niewiasty z cudownie wyszytemi obi (pasy szerokie, jedwabne, związane na sakramentalną kokardę na plecach) — słowem, parada... Po przybyciu gości, zdjęto z nich buty, włożono nocne pantofle i wprowadzono do pokoju przyjęcia. Cztery poduszki rozłożono w szeregu i kazano nam uklęknąć na nich, w połowie pokoju, twarzą do wschodu. Z prawej siedziałem ja, potem dwaj „wysocy goście" — Ziuk i Karski, na końcu mój Hirota. Usługiwały nam dwie córki gospodarza i dwie kuzynki, wszystkie młode, ładne i bogato ubrane. Na początek podano rosół z ryby, podobny do rosyjskiej „uchi", w dużych filiżankach z laki, podobnych z wielkości i formy do tych naczyń, w jakich w Galicji dają podśmietanie. Noży, widelców i łyżek niema, płyn pije się prosto z „talerza", a rybę trzeba rozdzielić dwoma patyczkami i podawać do ust. W całym ceremonjale jedzenia staraliśmy się imitować Hirotę, który na intencję wystawnego śniadania pościł od rana do 2-ej po południu. Po zupie przyszedł ryż, gotowany na parze, miękki, a jednak nie rozgotowany i trzymający się kupy, z okrasą ze smażonych i solonych jarzyn, i wreszcie — **clou de la reception** — ryba surowa. Zdziwił mnie trochę pośpiech, z jakim po dłuższej przerwie tę rybę podano każdemu z nas zosobna, na małych tackach lakowych, na których ustawione były trzy małe spodeczki z trzema gatunkami sosu — ostrego, słodkawego, kwaskowatego i słonawo-gorzkawego. Ryba, wielkości dużej sielawy, lub średniego śledzia, o złotawej łusce, miała skórę, odwiniętą pod siebie, a mięso pocięte w cienkie płatki, ładnie obok siebie ułożone na kośćcu, z głową i ogonem nietkniętemi.. Zaczęliśmy temi pałeczkami brać kawałki jeden po drugim i, umoczywszy w coraz to innym sosie, próbować, który lepszy. Ale smak surowizny nie mógł być zagłuszony przez żaden. Gdy się zabierałem do połknięcia trzeciego kawałka, patrzę, a moja rybka rusza pyszczkiem. Przeniosłem wzrok na sąsiednią rybkę Ziuka — to samo, dwie dalsze także. Smakołyk stanął mi w przełyku. Patrzę dalej na swą rybkę, a ta otwiera i zamyka pyszczek cztery czy pięć razy, a potem zaczyna bić ogonem — raz, raz, raz... Spojrzałem w bok na Ziuka — oczy mu wpiły się w ruszający się ogon jego ryby i widzę niesamowity grymas ust. Ale trudno — wypluć nie można, bo zanadto celebracji, twarz gospodarza i naszych nadobnych kelnerek wyraża niebiański zachwyt, a połknąć — ani rusz. Wtem Ziuk ryczy pod wąsem — macie wódkę? Skoczyłem do szafki w ścianie, wyrwałem butelkę koniaku i nalałem pół szklanki. Pierwszy raz widziałem, że Ziuk potrafi wypić duszkiem pół dobrej szklanki koniaku. Napiliśmy się wszyscy trzej i — połknęliśmy rybę. Oczywiście — pan Hirota zjadł wszystkie cztery ryby. Co potem było — mniejsza, już nam nie smakowało. Pamiętam tylko ciastka z mąki grochowej czy fasolowej (surowej) z cukrem. Też nam nie smakowały. Po zakończeniu flaszki (zaczętej) koniaku wypiliśmy z litr sake (rodzaj słabej wódki) i zakończyliśmy obiad herbatą, przegryzając sucharkami. I tyle emocji za jedne 4 jeny!... Na odjezdnem Ziuk mi powiedział, że to śniadanie — specjalnie surową rybę, pamiętać będzie do końca życia. O sobie myślę to samo"...

V.

Odprowadzeni i pożegnani na dworcu kolejowym w Tokio przez urzędnika Kawakami, w Jokohamie zaś — przy wsiadaniu na okręt przez mjr. Inagaki — opuszczali Japonję bez goryczy i żalu, raczej z pobłażliwością, z ciepłem uczuciem wdzięczności za tyle spotkanej tu uprzejmości, grzeczności, gościnności.

Z Jokohamy wracali rejsem północnym nie via Honolulu do San Francisco, lecz wprost z Jokohamy do Vancouveru. Wracali małym stateczkiem „Tartar", który miał nie więcej, jak 10 pasażerów Na drugi czy trzeci dzień po opuszczeniu Jokohamy wpadli w gęstą mgłę — od tej chwili trwała ona bezustannie przez całe dwa tygodnie. Co kilka minut ryczała syrena, śląca w mleczną przestrzeń mgły sygnały ostrzegawcze; pokład, ociekający wilgocią, nie zachęcał wcale do promenady. Przed portem Victorią mgła nabrała gorzkiego zapachu dymu. — To palą się lasy w Kanadzie, — objaśniał kapitan. Sprawdzono niebawem słuszność uwagi — z okien pociągu oglądano olbrzymie przestrzenie nawpół zwęglonych pni drzewnych...

W porcie Victoria na wyspie Vancouver czekała drobna przygoda: Pilsudski i Filipowicz padli tu ofiarą własnego „łakomstwa". Znudzeni i znużeni monotonją życia na statku, Piłsudski zaś tęskniący w dodatku do lodów, postanowili wykorzystać postój statku w Victoria. Kapitan zapewniał zresztą, że czasu jest conajmniej trzy godziny — trzeba przecież zabrać pocztę. Poszli, oglądali miasto, wstępowali po drodze do paru aptek na lody. Do portu wrócili conajmniej na godzinę przed zapowiedzianym przez kapitana terminem odjazdu— statku jednak już nie było, uciekał, kołysał się na pełnem morzu. Sytuacja przykra o tyle , że w kabinie zostały wszystkie rzeczy i pieniądze — w kieszeni brzęczał jakiś drobiazg. Postano nad brzegiem, zaklęto raz i drugi, pomyślano — co robić? Okazało się niebawem, że przebywający w mieście zarząd kompanji okrętowej, do której należał zdradziecki „Tartar", utrzymuje komunikację lokalną między Victorią na wyspie Vancouver a miastem Vancouver na kontynencie. Ludzie grzeczni ,uprzejmi, mili — zaopiekowali się, ulokowali w hotelu, poleconym czy bodaj nawet zgóry opłaconym, objaśnił, że statek lokalny odchodzi dopiero jutro rano, że podróż trwa około sześciu godzin.

Nazajutrz bez przygód dotarto do kontynentu. Rzeczy, naturalnie, znaleziono w jak największym porządku. Straciło się jedynie możność pożegnania miłych towarzyszy dwutygodniowego przebijania się przez mgłę na „Tartarze".

*

Na parę dni przed wyjazdem z Tokio jeden z przydzielonych Japończyków — mjr. Inagaki czy Kawakami — wyraził przekonanie, że rząd coprawda politycznie nie chce się w sprawę polską angażować, ale wojskowość japońska bardzo chętnie na wiąże ściślejsze stosunki z P. P. S. Istotnie — w Londynie doszło do pewnego porozumienia na tym gruncie. Znalazło to między innemi wyraz w stworzeniu w Szwajcarji kursu wojskowego, gdzie pod kierownictwem instruktorów japońskich przeszkolono zastęp ludzi, którzy w późniejszych wypadkach — w rewolucji i wystąpieniach organizacji bojowej — odegrali role najwybitniejsze. Historja tych stosunków jednak nie mieści się w ramach szkicu, poświęconego pobytowi i zabiegom w Tokio.

KAROL IRZYKOWSKI

# DYSKUSJA W AKADEMJI LITERATURY

## O PROGRAMACH NAUKI JĘZYKA POLSKIEGO

Zapraszając Akademję Literatury do wydania opinji o nowych programach nauki języka polskiego w szkołach powszechnych i gimnazjach, Ministerstwo W. R. i O. P. zaświadczyło, że nie uważa Akademji tylko za samoświetny „klub genjuszów" lecz pragnie jej oddać pewne zadania w tej niedość jeszcze określonej i wypróbowanej dziedzinie, w której literatura piękna wchodzi w potrzeby społeczeństwa.

Mówiono tu i ówdzie, że akademicy literatury nie mogą i nie potrzebują się znać na takich sprawach jak programy naukowe, i że sprawy te należą właściwie do pedagogów fachowców. I rzeczywiście tylko praktyk i teoretyk pedagogji potrafi gruntownie ocenić doniosłość takiej np. nowości, jak wdrażanie uczniów w coraz to szersze kręgi słownictwa polskiego przez odpowiednie ćwiczenia słownikowe. Ale ostatecznie nie święci te garnki lepią, — można się i z tem jakoś obznajmić. Ludzie, którzy w swej twórczości mają tyle do czynienia ze słowem, mają też przez to swój własny klucz do tych zagadnień. Także ogólna teorja programów nauki języka polskiego w pierwszej tylko chwili wydaje się wiedzą hermetyczną. Gdy się czyta rozprawy profesorów na temat tej nauki, tak ważne jak Zygmunta Łempickiego „Polska i polskość w nauczaniu polskiego" albo Jana Hulewicza: „O przebudowie studjum polonistycznego w szkole ogólnokształcącej", artykuły prof. Saloniego w „Poloniście" i t. d. — a są jeszcze i całe książki o tym przedmiocie jak dzieło Zygmunta Klemensiewicza, podręczniki K. Woycickiego, — otwiera się nowy świat bardzo ciekawych i skomplikowanych zagadnień, którymby można życie poświęcić. Akademik literatury nie potrzebuje mu poświęcać życia, ale parę tygodni mu wystarczy, aby się choć powierzchownie zapoznać z tem, co się w tym świecie dzieje, — i przekonać się, że i on jako rzeczoznawca ma tutaj niejedno do powiedzenia. Może go zachęcić przykład Kadena-Bandrowskiego, który pierwszy rzucił śmiałe hasło obfitego uwzględniania najnowszej literatury w szkołach. (Obecnie hasło to rozwinął wszechstronnie Leon Pomirowski w ostatnim rozdziale świeżo wydanej książki „Nowa literatura w nowej Polsce").

Kryzys i rewolucyjność nie oszczędziły także systemów nauczania języka polskiego. Nauczyciele w imię dobra uczniów protestują przeciw nadmiarowi gramatyki w szkole. Niektórzy żądają zniesienia wogóle t. zw. wypisów; wskazują na to, że w dzisiejszej Rosji dobre wyniki osiąga się czytankami, które mają raczej charakter encyklopedji, służącej bezpośrednio do celów pracy. Łempicki i Hulewicz żądają bardzo szerokiego uwzględniania dziejów kultury polskiej przy sposobności nauki polskiego. A prócz tego walka o usuwanie starych polskich autorów z lektury trwa niezłomnie dalej.

Akademików to wszystko obchodzi nietylko jako zwykłych obywateli ale i jako twórców, jako przedstawicieli interesów literatury. Bo przecież szkoły kształcą także przyszłego jej odbiorcę, przyszłego czytelnika; to też ważne jest, aby on był odpowiednio przygotowany, zwłaszcza zaś, aby zawczasu nabrał ochoty do literatury — że tak powiem — kwalifikowanej.

To też i świat nauczycielski chętnie uznał kompetencję Akademji w tem, co dotychczas było tylko jego zakresem. Świadczy o tem fakt, że prawie każdy akademik miał swoich nauczycieli jako doradców, jako informatorów, jako inspirantów. Może wynik debat Akademji był stosunkowo szczupły, ale to była pierwsza próba — przyczem akademicy nie mieli wiele czasu i na studja i na obrady.

Oto garść szczegółów z samych obrad.

W dyskusji nad programem nauki polskiego w szkołach powszechnych zabrał głos przedewszystkiem prof. Juljusz **Kleiner,** jako jedyny fachowiec wśród akademików. Po dłuższem przemówieniu postawił wnioski następujące:

Akademja wita ten program z uznaniem jako organiczny, jasno zmierzający do celów własnych, oparty na bogactwie doświadczenia. Akademja wyraża przekonanie, że nie należy uczyć młodzieży skomplikowanych i niepotrzebnych reguł dzielenia wyrazów, które to reguły zarzuciła już Polska Akademja Umiejętności, — że należy wprowadzić swobodę całkowitego przenoszenia do wierszy następnych lub dowolnego rozdzielania grup spółgłoskowych między dwiema samogłoskami zgodnie z uchwałą walnego zgromadzenia Pol. Ak. Um.

Przemawiali jeszcze pp. Kaden-Bandrowski, Choynowski, Leśmian, Rzymowski, Sieroszewski, Nałkowska, Irzykowski, Żeleński. Poruszono sprawy gramatyki, gwar, wypisów i t. d. W imieniu Ministerstwa dawał wyjaśnienia i odpowiedzi naczelnik wydziału programowego, p. Balicki.

Większa dyskusja rozwinęła się nad programem dla gimnazjów.

Prof. **Kleiner** wyraża pełne uznanie dla wskazówek metodycznych programu, dla układu ćwiczeń w mówieniu i pisaniu i dla nauki o języku. Zmierzają one do tego, by język polski uczynić w szkole tematem wszechstronnego kształcenia, by godziny jego ożywić i odebrać im cechy pedanterji i schematyczności. W obrębie nauki o języku pożądane jest jednak zmniejszenie materjału, przy zachowaniu linij wytycznych programu, tylko z przeniesieniem fonetyki obszerniej traktowanej do klasy IV (ze wzg'ędu na zainteresowania młodzieży i na korelację z biologją).

Mówca ma natomiast poważne zastrzeżenia co do materjału lektury i co do zasad kierujących jej doborem. Tu brak programowi własnego kośćca; stosuje się on do nauczania historji i kieruje się dążeniem, by z materjału, który obejmowało gimnazjum dotychczasowe uratować to, co najcenniejsze. Cenna jest wprawdzie tendencja, by język polski udostępniał w szerokiej mierze kulturę naszą i by stał się bramą, wprowadzającą w świat całej kultury humanistycznej różnych epok i różnych narodów. Ale nie należy zmieniać tych godzin w godziny systematycznego uczenia o kulturze. Prof. Kleiner broni samoistnych odrębnych celów języka rodzinnego jako przedmiotu o charakterze zupełnie wyjątkowym; broni stanowiska, że w poznawaniu dzieł literackich one same są celem a nie środkiem do uczenia o tem, co nie jest dziełem sztuki. Godziny języka polskiego zmierzać powinny do tego, by za pośrednictwem dzieł literackich uczyć reagowania pełnią psychiki na pełnię życia. Pożądana jest korrelacja, ale niedopuszczalne jest, by język polski stał się Vancilla historiae.

Materjałem języka ojczystego jest wszystko, co się tym językiem daje wyrazić, całe bogactwo życia. Jego nauka ma nietyle dostarczać wiedzy, ile wytwarzać pewne nastawienia psychiczne. Ważna jest strona emocjonalna. Nauka języka polskiego tylko wtedy osiągnie swój cel, gdy stanie się przedmiotem miłym. To jest także droga propagandy i wobec mniejszości.

Rozważając zapas lektury, przeznaczonej dla gimnazjów, ubolewa mówca, że młodzież miałaby wyjść ze szkoły bez znajomości „Konrada Wallenroda", z części III „Dziadów" znałaby tylko dwa opowiadania, a nie wiedziałaby nic o Improwizacji; nie zasłyszy też nic o Krasińskim, niema wyjątków z „Marji", niema Goszczyńskiego, uprzywilejowano Konopnicką, na niekorzyść Asnyka i t. d.

Wobec tego, że młodzież gimnazjalna dopiero w klasie najwyższej będzie dojrzała do istotnego kontaktu z arcydziełami literatury i do zrozumienia różnych faz historycznych i że gimnazjum ma dla szerszej inteligencji być podstawą stosunku do literatury, żąda mówca, by tak samo jak się kładzie szczególny nacisk na język polski w klasie początkowej, przeznaczając dlań 6 godzin tygodniowo w półroczu pierwszem — tak samo szczególną uwagę poświęcić mu w klasie IV i przeznaczyć dla niego nie 3 godziny, lecz 6 godzin tygodniowo przez cały rok. Mówca studjował programy innych przedmiotów dla tej klasy i zapewnia, że te dodatkowe godziny będzie można dla języka polskiego wykroić.

W obrębie tych 6 godzin należy:

1) zapoznać młodzież z głównemi arcydziełami poezji, przedewszystkiem z „Panem Tadeuszem", z „Dziadów" częścią trzecią i z jednem przynajmniej dziełem Słowackiego i Krasińskiego;

2) zapoznać ją z głównemi zjawiskami literatury wieku XVI, XVII i XVIII;

3) dać jej pogląd na główne epoki literatury;

4) uwzględnić w obfitej mierze literaturę ostatnich dziesięcioleci wieku XIX i XX, czyniąc ją tematem osobnych godzin w ciągu całego roku.

Na tego rodzaju lektury jak pod 1) i 2) zawcześnie jest w klasie II i III.

Należy też unikać tekstów staropolskich, tudzież historycznego uszeregowania lektury. W klasie IV można uzupełnić luki klasy I, pouczając o światowem znaczeniu kultury greckiej.

Wkońcu prof. Kleiner wyraża przekonanie, że we wszystkich typach liceów należy kłaść nacisk na poznanie literatury polskiej i arcydzieł literatury światowej i że należy dać pogląd historyczny na główne prądy i na wielkie osobistości twórcze.

W duchu powyższych swoich wywodów formułuje mówca szereg rezolucyj. (Ogólne zasady, których broni prof. Kleiner, znane są czytelnikom „Pionu" z artykułu jego w nrze 2 tego pisma).

**P. Juljusz Kaden-Bandrowski:** Pamiętamy na własnej skórze dobrodziejstwa szkolnego badania piękności dzieł literackich jako takich. Między 13 a 16-tym rokiem życia opanowywała nas ta piła, ten koszmar, ta kolosalna antipropaganda literatury. Profesorzy rozwijali w jej aplikowaniu fanatyzm graniczący z sadyzmem. Rozwiązanie tej kwestji w najnowszym programie dla szkół średnich jest już szczęśliwsze. Ale i tu mamy np. wyjątki z „Lilli Wenedy". Przecież każde dzieło sztuki obraca się w pewnych kategorjach techniczno-społecznych, a kategorje „Lilli Wenedy" są stanowczo przestarzałe. Taki uczeń, który lata sam z namordnikiem gazowym po mieście podczas ataku gazowego, nie będzie się przecież zachwycał hełmami Wenedów, ani nie będzie się chętnie przyglądał, jak się wylęga taką perłę, jak „Lilla Weneda". Poco tych chłopców rozdmuchiwać takiemi analizami; czy prof. Kleiner myśli, że to im umili naukę języka polskiego, a on przecież pragnie, żeby ta godzina była miłą.

W programie tym jest to dobre, że niejako a priori zostawia tego rodzaju badania na marginesie. Ale jest to zrobione połowicznie i ten program jest — to się czuje — programem ludzi nie nowych lecz pokonanych. Oni już zrozumieli, że lepiej będzie nie robić z tego ucznia — Greka. Jest to pokora starego pedagoga wobec instytucji, jaką jest współczesna młodzież. Pan chce wytwarzać speców, Pan zbliża się do operowania literatury subtelnemi sterylizowanemi narzędziami, ale oni wolą to robić zwykłym kozikiem. Pod ławką czytają — co? „Słówka" Boya, gazety; życie wsiąka do nich wszystkiemi porami, a tej klasycznej literatury to się ich wogóle nie nauczy. Nauka literatury w czterech klasach gimnazjalnych nie może być niczem innem jak nauką polskiej kultury, tylko to może ją uczynić znośną. Prof. Kleiner wyraził obawy co do nadmiaru lektury wyznaczonej przez program dla klasy II i III. Ale w klasie I wynosi ona tylko 12 stronic, w III-ej tylko 23. Rzeczą pedagoga jest, aby tę lekturę urozmaicić, wskazując zwłaszcza na tło kulturalne. Czytając z uczniami „Boga Rodzicę", opowie, jak to ją wojsko polskie śpiewało przed bitwą pod Grunwaldem, Czytając z nimi Reja, powie im bez ogródek, że to przecież taka zabawna chamska gwara. I w ten sposób zainteresuje uczniów tym skądinąd suchym przedmiotem. Wogóle pedagog polonista musi być czemś w rodzaju cywilnego księdza, jeżeli chce pozyskać uczniów.

Czapczyński napisał 2000 pytań z „Pana Tadeusza" — czy to może umilić uczniom czytanie go? I na miłość boską, nie trzeba uczniów zgóry straszyć, że to „perła"; trzeba z nimi mówić po ludzku.

W klasie I-ej nauka języka polskiego musi być sługą historji; ta korrelacja to jest wentyl, bez któregoby chłopak nie wytrzymał. Według programu ma się czytać wyjątki z Iljady i Odyssei. Poco Odyssei? Co innego Iljada. Tam — powiada chłopak — przynajmniej „leją się po łbach"; w pojedynkach silniejszy jest górą, „a jednak tamten, słabszy, mu da". Niebadne było zwycięstwo nad Patroklesem, ale mimo wszystko — powiada chłopak — „świnie to oni nie byli".

Program jest świetny, ale musi być podparty odpowiednią wolną lekturą. Tej nie powinno się rozplanować bez nas. Proponuję tedy rezolucję: Akademja uznaje celowość układu przedmiotu w programie, nie może się jednak całkowicie wypowiedzieć co do całokształtu jego budowy, póki nie weźmie przez delegatów swoich udziału w opracowaniu fundamentalnej części programu t. j. spisu lektury oraz działu oceny książek poleconych dla młodzieży. Do rezolucji tej dołącza się rezolucje pp.: Kleinera, Irzykowskiego i Nałkowskiej, które Prezydjum Akademji przekaże Ministerstwu W. R. i O. P. z prośbą o wzięcie ich pod uwagę.

**P. Bolesław Leśmian** popiera pogląd p. Kleinera, że polonistyka ma swoje własne cele i nie może być podporządkowana nauczaniu kultury.

**P. Zofja Nałkowska:** — P. Kaden-Bandrowski mówił o tem, że plan wykładów powinien być oparty na zaciekawieniach ucznia. Ale te zaciekawienia nie są czemś przyrodzonem lub skostniałem, zależne są także od różnych bodźców życiowych, od rozmów, od otoczenia, od gazet, radja, kina i lektury. Zadaniem szkoły byłoby raczej kierować temi zaciekawieniami, korygować je, a nie pozostawiać ich tylko przypadkowi. Inaczej uczeń nadal zwracać się będzie do lektury sensacyjnej, do scen, walk i tortur, — czemu tak sprzyja lektura choćby Sienkiewicza. Szkoła niechby narzucała zainteresowania wyższego rzędu.

Mówił prof. Kleiner, że godzina polonistyki powinna być przedmiotem miłym i działać na uczucia ucznia, że należy nań oddziaływać raczej emocjonalnie niż teoretycznie. To mi się wydaje rozróżnieniem zbyt dualistycznem; myśl uważam za wyżej zorganizowane uczucie, za bardziej uszlachetniony organ poznania. Uczucie jest doznawaniem świata wegetatywnego, a poznawanie jest już myślą. Szkoła doznawania może prowadzić do poznawania.

Przyjęcie nauki historji za podstawę korelacji, wywołuje w układzie nauczania konflikt podwójny:

Po pierwsze, konflikt między porządkiem chronologicznym narzuconym przez historję a podstawowem wskazaniem metodyki: „od prostego do bardziej złożonego".

Po drugie, konflikt między wychowawczo-etycznemi i kulturalnemi wskazaniami wykładu polonistyki a zawartością lektury już zaleconej dla klasy pierwszej: „Życie starożytnego Wschodu, klasycznej Grecji i Rzymu ze szczególnem uwzględnieniem świata mitów, postaci bohaterskich, przykładów tężyzny fizycznej i duchowej i t. p.". To są przecież wzory wypracowane przez inne epoki historyczne i gospodarcze.

Otóż pożądane by było uznać za podstawę korelacji nie chronologję historyczną, lecz rozwój zagadnień życia zbiorowego, z uwzględnieniem jego roli wychowawczej i etycznej, właściwszej dziś od starych wzorów tężyzny. Należy w szerszej mierze uwzględnić np. życie rodzinne, stosunek do przyjaciół, stosunek do społeczeństwa, wogóle — stosunek do drugiego człowieka jako źródło impulsów moralnych.

Możeby z takiego przesunięcia podstaw wynikły pewne kłopoty dla nauki historji, ale te byłyby już łatwiejsze do usunięcia.

**P. Karol Irzykowski:** W tem się różnię od p. Kadena-Bandrowskiego, że on ma dwóch synów, a ja mam dwie córki, więc reprezentuję większą część ludności polskiej; on chce Iljady, ja chcę Odyssei, z jej obrazami życia pokojowego, sielankowego, rodzinnego.

Jak daleko idą t. zw. korrelacje, czyli obciążenie polonistyki różnemi odmiennemi zadaniami, o tem niech pouczy następujące zestawienie z obu programów: Nauka polskiego ma dać wszystkim „pogłębienie uczuciowe", czyli że cała humanistyka tu się pakuje; ma także służyć religji, ma „zaostrzać zdolności obserwacyjne" — w tym celu są wycieczki, na których trzeba podziwiać zachód słońca, obserwować wylew rzeki, kwitnienie sadu, bociany, nawet kuropatwy w zimie; wogóle ma się „pogłębiać znajomość świata otaczającego", informować i objaśniać, uczyć realjów i to nietylko historycznych, lecz i współczesnych (życie gospodarcze i kulturalne danego środowiska, nawet Kasy Chorych); ma dawać „głębsze wartości wychowawcze" czyli moralizować; ma „wpajać ideały narodowe i państwowe"; ma „wytwarzać więź wspólnoty"; służyć gramatyce, ale i psychologji, gdyż oto uczeń ma „opisywać i charakteryzować postacie ludzkie" a nawet rozpatrywać „czyny ludzkie i ich pobudki" oraz „zawiłe sploty zdarzeń". Czy nie za dużo na tę biedną polonistykę? To są goście, którzy chcą wyrzucić gospodarza. I dlatego to prof. Z. Łempicki mówi, że „w filozofji przeżywamy odliterayzowanie". Uderzają mnie jeszcze wymagania retoryczne: uczeń ma się kształcić na mówcę, na polityka, na redaktora (sprawozdania, dyskusje, ćwiczenia redakcyjne), więc na kogoś co się może odwoływać do mas. Ale t. zw. obywatel to nie jest jeszcze pełny człowiek, jeżeli nie zna takich rzeczy, jak przyjaźń, miłość, cisza, los, Bóg. A kultura listów? Wogóle za mały nacisk kładzie się dzisiaj na opanowanie języka w piśmie.

Odrzuca się dziś naukę o wartościach estetycznych w utworach literackich. Ale zła praktyka może obrzydzić wszystko. Z pewnością owe skompromitowane już dziś wykresy i krzywe uczuć miłosnych w „Panu Tadeuszu" nie przynosiły zaszczytu polonistyce. Zresztą te wykresy to były tylko streszczenia nie analizy. Ale także i nowe, doskonałe w teorji, ćwiczenia słownikowe w szkole powszechnej mogą się stać nieznośną piłą; wszystko zależy od sposobu aplikowania. Dla Akademji Literatury jest bardzo ważne to, aby już w szkole wychowywać przyszłych konsumentów wyższej literatury, aby ich zarazić zdrowym snobizmem, aby ten aptekarz z Mołodeczna czytał nie Mniszkównę lecz Kadena-Bandrowskiego. W nauce tak zwanej „poetyki" powinno się więcej uwzględnić znaczenie metafory, która dziś stoi w środku zainteresowań estetycznych. Pod tym względem program szkół powszechnych jest hojniejszy od gimnazjalnego.

W komentarzu do programu gimnazjalnego kładzie się wyraźnie nacisk tylko na powieść i lirykę. Dlaczego nie na dramat także? Tu jest dawne zaniedbanie literatury polskiej. Sądzę, że w ostatniej klasie możnaby z korzyścią czytać nawet Rostworowskiego i Szaniawskiego. Krasicki jest w programie bardziej uprzywilejowany od Krasińskiego. Możnaby z „Nieboskiej Komedji" czytać choćby sławną rozmowę między Pankracym a hr. Henrykiem, aby przy tej sposobności omawiać z uczniami istotę współczesnych zagadnień społecznych, któremi i tak życie samo ich zasypuje. Program jest co do tej dziedziny bardzo bojaźliwy; mówi ogólnikowo o „więziach wspólnoty" o potrzebie „współczucia dla warstw i jednostek upośledzonych" a za to o „pogardzie względem ludzi małowartościowych" (pomieszano więc tutaj dwie różne sprawy).

Tam gdzie jest w programach mowa o minionych bohaterstwach w Polsce, o przedwojennych tajnych organizacjach, o czynach legjonów, należy też uwzględnić dążenia ludu robotniczego i działalność bojowców z klasy robotniczej (Okrzeja, Mirecki). W lekturze szkolnej możnaby utworzyć grupę utworów ilustrujących tę sławną epokę np. „Róża" Żeromskiego, Sieroszewskiego „Być albo nie być", Struga „Jutro". Nie można też pominąć naszej literatury pacyfistycznej (np. Struga „Żołnierz z pod St. Beat"). Usunąć wszędzie obrazki z życia osobistego tak pisarzy jak i osób politycznych.

Po uczynieniu odpowiednich wniosków, mówca proponuje jeszcze rezolucję ogólną: Zwraca się uwagę na konieczność dobrej polszczyzny i dobrej stylistyki także we wszystkich innych podręcznikach szkolnych (np. fizyki, historji).

Na tem dyskusja się zakończyła, kilku zapisanych zrzekło się głosu. Jak z gazet wiadomo, Akademja uchwaliła rezolucję K.-Bandrowskiego, żądającą udziału Akademji w układaniu lektury dla szkół, resztę zaś wniosków tylko przekazano Ministerstwu do możliwego uwzględnienia. Szkoda że nie objęto wyraźną uchwałą także wniosku prof. Kleinera o powiększenie godzin języka polskiego — to było bardzo ważne.

---

OLGIERD GÓRKA

# „OGNIEM I MIECZEM" A RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA

## IV. KONKLUZJE

DOKOŃCZENIE

Skruplatny rozbiór życia i stosunków Sienkiewicza w latach 1880—83 nie może nasuwać nawet cienia przypuszczenia, że chciał ugodzić w istniejący wówczas naród ruski, czy maloruski, krystalizujący się oddawna coraz bardziej w słowie „ukraiński". Najwyżej można przypuszczać, że w swem przejaskrawieniu barbarzyństwa Kozaczyzny i świata ruskiego chciał wziąć odwet na rosyjskiej niekulturalności, ciasnocie i cenzurze, na co w inny sposób warunki warszawskie ne pozwalały.

Tymczasm „Ogniem i Mieczem" w najwyższym stopniu ubodło i oburzyło świat ruski, czy ukraiński, by przypomnieć wśród innych cech (niesłusznie pomijany przez bibljografje) głos jednak znaczący Wł. Antonowicza w „Kijewskiej Starini" (r. 1885, V, 44—78; Chmelnyczczyna w powisty G. Senkewycza), powtórzony w r. 1917, pełen zarówno goryczy, z powodu rzekomej pogardy wobec Ukraińców, jak również uwag krytycznych o mylnem używaniu języka XVII w. i t. d. Rzeczywiście bowiem nie z winy Sienkiewicza, ale jego źródeł, które genjalną fanzję pchnęły w fałszywym kierunku, „Ogniem i Mieczem" ciąży przez lat pięćdziesiąt na wzajemnem odczuwaniu swej przeszłości, zarówno ze strony polskiej, jak ukraińskiej, chociaż inspirator Kubala znalazł niezamierzone uzupełnienie z przeciwnej strony w postaci bardzo dowolnego ujęcia tych czasów przez Hruszewskiego i jego szkołę, oraz doczekał się ze strony ukraińskiej wszystkich objawów uznania. „Odwrócony obraz" bowiem, podany z genjalną siłą sugestywności, wrósł i wrasta w serca młodzieży obydwu narodów.

Przy skrupulatnem jednak badaniu historycznem, przy badaniu z całą surowością i dokładnością metody, przełomowe te lata 1648/49, które w fałszywem zwierciadle historycznem i literackiem stały się jedną ze stale działających podstaw rozbratu uczuciowego między dwoma narodami, muszą — mym zdaniem — po sumiennem ustaleniu wypadków i dążeń, stać się podstawą uczuciowego porozumienia i zbliżenia. Chociaż bowiem niema śladu tego stanu rzeczy w fabule „Ogniem i Mieczem" była to jednak walka nietylko pobratymcza, ale nawskroś bratobójcza, gdzie przechodzenie z jednej strony na drugą i odwrotnie, np. wodza chłopów Gandży na stronę polską, a szlachty ukraińskiej coraz bardziej na stronę Chmielnickiego, było na porządku dziennym, gdzie dosłownie niemal brat walczył z bratem (Chmieleccy u Chmielnickiego i w chorągwi husarskiej Jaremy). Nie umiała jednak ówczesna historjografja tych wypadków wyjawić Sienkiewiczowi tej istotnej idei tych lat, którą wyczuwał zarówno Ossoliński, jak Chmielnicki, a rozumiał z całą jasnością Kisiel, że kontynuowanie całej tej walki w jej dwóch pierwszych latach (do śmierci Ossolińskiego 9. XII. 1650), było nietylko bratobójcze, nietylko bezcelowe, ale dla rozwoju stron obydwu szkodliwe do granic czasowego zaniku.

Interes Polski, uosobiony w dążeniach Władysława IV i Jana Kazimierza, spięty osobą i polityką Ossolińskiego, nie był w tych latach rozbieżnym z dążeniami Kozaczyzny, a co do pewnych punktów zdecydowanie zbieżny, jeśli chodzi o walkę przeciw władzy hetmańskiej i królewiętom. Obydwie strony dążyły słusznie do wyłączenia w stosunkach między Kozakami, a królem, coraz bardziej się usamodzielniającej władzy hetmańskiej, oraz królewiąt i tych starostów, którzy byli głównymi winowajcami. Pierwsze dokumenty Jana Kazimierza po elekcji, czy to pod datą 1-go, czy 21-go grudnia 1648, stwierdzają wobec Kozaków najdosłowniej, że „punkt waszej supliki, żebyście wojsko nasze zaporoskie pod władzą nas samych i Rzplitej zostawali, a panów wiele nad sobą nie mieli — i my (Jan Kazimierz), tak, a nie inaczej mieć chcemy" (zob. Arch. J. Z. Ros. III 4, str. 40; cyt. za Michał. Ks. Pam. 218). Interes bowiem zarówno Polski, jak króla i Kozaków, polegał zgodnie na tem, aby mieć na swoich południowych rubieżach sobie tylko podporządkowanego hetmana Kozaczyzny, chociażby o dużym zakresie władzy i stanowisku, a to dla celów politycznych Polski na południowym Wschodzie. Losy i śmierć Ossolińskiego zrządziły inaczej, chociaż jeszcze w traktatach zborowskich zaistniała dla takiego stanu rzeczy zdolna do życia podstawa.

W rezultacie bieg spraw Kozaczyzny zadał Polsce cios zasadniczy i trwały, ale równocześnie siłą dalszego rozwoju wypadków zniszczył te możliwości samodzielnego rozwoju narodowości ukraińskiej, jakie dla niej stworzył Chmielnicki w latach 1648/49, szukając dla Kozaczyzny, jako warunku realizacji istotnych jej dążeń, oparcia się plecami o państwo polskie. Wiem, że są to poglądy, z któremi nie łatwo zechce się pogodzić z szeregu powodów polskie myślenie historyczne, a oczywiście jeszcze trudniejszą będzie na nie zgoda ze strony ukraińskiej, zwłaszcza ze strony Hruszewskiego i jego szkoły, krytykującej bezustannie i naiwnie Chmielnickiego przez pryzmat swych programów politycznych XIX, a raczej ściślej dopiero XX wieku.

Historjografja polska pod wpływem tych ciążących, a sugestywnych nastawień powieści, pisanych raz przez Kubalę z odsyłaczami, a raz przez Sienkiewicza bez odsyłaczy, nie chce widzieć, wbrew wszystkim aktom i dokumentom, że nie jakiś interes Rzeczypospolitej, ale czysto i wyłącznie finansowy interes, nawet nie wszystkich magnatów, czy większości szlachty ukraińskiej, lecz tylko Wiśniowieckiego i Koniecpolskiego, był jedyną przeszkodą dla tego rozwiązania, dyktowanego przez interes stron obydwu. Kozaczyzna była niewątpliwie olbrzymią siłą uderzeniową, dla której zniszczenia nie miała ówczesna Polska dość wojska zaciężnego, bo to „ladaco" — według słów Ossolińskiego, — czyli pospolite ruszenie, było raczej tylko minusem. Pozatem nie leżało w interesie Polski zniszczenie Kozaczyzny, bo jej

oczywistem zadaniem było przedewszystkiem zlikwidowanie Krymu i ustalenie stosunków na południowym Wschodzie w sposób, niedopuszczający do stałego i bezcelowego osłabiania sił państwa przez cały szereg wieków. Z drugiej zaś strony przeciąganie się walki Kozaczyzny z Polską niszczyło jakąkolwiek możność państwowego odrodzenia się przyszłego narodu ukraińskiego. Kozaczyzna wojskowo potężna, ale tylko w czasie powszechnej mobilizacji, państwowo była zbyt słabą, by się utrzymać samodzielnie między trzema wielkiemi blokami państwowemi: polskim, tureckim i moskiewskim. Jedynie w oparciu się następnem o Polskę, — jak to długo jeszcze rozumie dobrze Chmielnicki i Wyhowski, — mógł ruch Chmielnickiego przynieść ówczesnemu narodowi kozackiemu dłuższy, a konieczny, kredyt czasu, by zrodzoną podstawą rozwinąć ku czemuś pozytywnemu i stałemu.

Walka lat 1648/49 była nietylko bratobójczą, nietylko bezcelową, ale mimo wysiłków wybitnych głów tego czasu — szkodliwą dla stron obydwu.

Oto jest ta idea dziejowa i wskazanie czasów „Ogniem i Mieczem", którego Sienkiewicz nie mógł znaleźć w swych źródłach, a które mimowoli swoją przepotężną i nieprzewidzianą sugestją przysłonił odczuwaniu narodowemu zarówno strony polskiej, jak ukraińskiej. Nie wątpię, że po wyswobodzeniu się z tej powieściowej sugestji, myślenie naukowe pójdzie ze stron obydwu po innych linjach. Z polskiej linji po takiej, jaką zainicjowałem — rewizji nastawień Kubali i prac najnowszych o niego opartych. Rozpoczyna się ona również po stronie ukraińskiej — wychodząc zresztą z zupełnie innych założeń, a może także dla odmiennych rozwiązań — jako rewizja poglądów Hruszewskiego i jego szkoły, zwłaszcza w odniesieniu do osoby Chmielnickiego, podjęta przez profesora M. Kordubę (Der Ukraine Niedergang u. Aufschwung. w t. VI, „Zeitschrift f. ost. europ. Gesch.").

W każdym razie postęp na tem polu przejawia się chociażby w tem, że tak chętnie czytanemi do niedawna popisami naukowymi w stylu „dzieł" Rawity-Gawrońskiego nikt się dziś już nawet nie chce zajmować.

* * *

Jakkolwiek wszystkie moje krytyczne uwagi o obrazie odwróconym w „Ogniem i Mieczem", o bezideowości historycznej tej powieści, o ujemnym jej wpływie na wzajemne odczuwania polsko-ukraińskie, oraz o jej niepedagogicznym charakterze, zdawałyby pozornie wskazywać na intencje negatywnej oceny Sienkiewicza, — to właśnie wszystkie te zastrzeżenia odnośnie do „Ogniem i Mieczem", przy oczywistem wyłączeniu strony artystycznej, są punktem wyjścia dla stwierdzenia słusznej podstawy w wielkości jego stanowiska w dziejach myśli i odczuwań polskich.

Oczywiście, ta droga dowodu, czy wniosków jest do osiągnięcia tylko przez genetyczne podejście do całego zagadnienia.

Z konieczności i dla wyrazistości sprawy, muszę poprzedzić me wywody dygresją o Aleksandrze Dumas'ie (ojcu), którego rola i dzieła były i są tak bezustannie łączone z ocenami Sienkiewicza. Nie chodzi mi bynajmniej przy tem zagadnieniu o sprawę wpływu „Trzech Muszkieterów", względnie całej wcześniejszej twórczości Dumas'a na Sienkiewicza, który zresztą należy do zagadnień już opracowanych. Jeśli jednak w dyskusji, czy artykułach rzucono mi również kontrargument, że „Dumas'owi nikt do źródeł nie zaglądał", to muszę przypomnieć, że krytyka literacka francuska poświęciła całą literaturę źródłom Dumas'a. Co więcej — przypadek, że „Memoires de Mr. d'Artagnan" wpadłby przypadkowo do rąk Dumas'a, że stamtąd zaczerpnął gros swojej treści i całą swoją czwórkę, stało się powodem ponownych wydań (już od 1847 r.) i tłumaczeń rzekomych pamiętników d'Artagnana, oraz zainteresowania krytyków dla ich twórcy Gatiena de Courtils de Sandras, któremu odgrzebano z powrotem wszystkie jego dzieła. Znacznie później dopiero, bo w roku 1910 — 1912, — wobec faktu, że francuską rycerskość spopularyzował w Europie właśnie Dumas, — historycy francuscy J. de Jaurgain i K. Samaran dogrzebali się nietylko dziejów prawdziwego d'Artagnana, ale zbadali skrupulatnie wszystkich jego towarzyszy, stosunki, dzieje i genealogje po babki i prababki (ostatnie wskazówki bibljograf. u F. Wencknera: „Kriegs-u. Liebesabent. des d'Artagnan", wyd. Ullsteina, 1919). Jakżeż ubogiemi i metodycznie nierozwiniętemi są nasze studja nad Sienkiewiczem, — z wyjątkiem zagadnień „Quo vadis", — w porównaniu do pracy francuskiej nad Dumas'em, a to mimo tych wszystkich dwustu wspomnianych rozpraw i t. d., o twórczości Sienkiewicza?

Tymczasem, właśnie porównanie Sienkiewicza z Dumas'em jest, po krytyce historyczności „Ogniem i Mieczem", drugim kluczem zarówno do oceny Sienkiewicza, jak stwierdzenia jego wielkości. Oczywiście, również przytem zagadnieniu musimy myśleć genetycznie i nie odnosić się do twórcy „Trzech Muszkieterów" przez pryzmat dzisiejszych gadek, że jest to lektura dla pokojówek. Znakomita ta i wartościowa powieść cieszyła się zasłużonem uznaniem Sienkiewicza, w każdym razie nie idącym tak daleko, jak zachwyt Zygmunta Krasińskiego, który „Trzech Muszkieterów" uważał za „epopeję europejską" (zob. „Wędrowiec" 1889 str. 338). Przy zestawieniu bowiem tych dwóch powieści: „Trzech Muszkieterów" i „Ogniem i Mieczem", genetyczne podejście, — dla którego cała „wpływologja" drogą aposterjorycznych analogji jest rzeczą raczej drugorzędną — musi stwierdzić, że w pracy twórczej Dumas'a najlepszą rzeczą było jego źródło, a w pracy Sienkiewicza właśnie stroną najgorszą — jego źródła historyczne, zarówno rzekomo współczesne, jak opracowania.

Wchodzi pozatem drugi czynnik — człowiek! By przypomnieć rzeczy znane, — szalone powodzenie powieści dumasowskich, zaprowadziło go całkiem gdzieindziej, niż Sienkiewicza. Sienkiewicz przestaje przez pewien czas pisać, a Dumas, pisząc równocześnie na prawo i lewo odcinki powieściowe, dochodzi w błyskawicznem tempie do wręcz nieprawdopodobnych na swoje czasy dochodów literackich, bo około 200.000 fr. rocznie, oraz procesów, w których mu wykazano, że najbieglejszy szybko-pisarz nie potrafiłby tyle przepisać, wiele on się zobowiązał dostarczyć rozmaitym wydawcom, w ustalonych rozmiarach i terminach dostawy. Nic dziwnego, że Dumas nie utrzymał się nawet na poprzednim poziomie, a o jego pogłębianiu się szkoda wogóle mówić.

Sienkiewicz natomiast, niewątpliwie najwybitniejszy przedstawiciel duchowy Polski z ostatnich dziesięcioleci XIX wieku, ale jeszcze z doby przedrewolucyjnej Polski wieku XX, miał w sobie — jak wspomniałem — w najwyższym stopniu rozwinięte poczucie odpowiedzialności wobec narodu i historji. Moment ten będzie nietylko kierował całem jego życiem, ale stanie się nawet powodem jego późniejszej literackiej degresji i ujawnienia swego rozminięcia się z rewolucyjną epoką Polski, której przeciwstawić się uważał za swój obowiązek, a która go wyprzedziła. Sienkiewicz bowiem nie kontynuuje siebie nadal w tej formie, w jakiej rozpoczął swój sukces, ale zmienia zasadniczo swoje „ja" w latach 1884 — 86.

Dwie rzeczy pozornie sprzeczne zadecydowały o zmianie wewnętrznej Sienkiewicza: powodzenie i krytyka. Niebywały entuzjazm dla „Ogniem i Mieczem", wręcz odmiennie, jak u Dumas'a, nakazał mu konieczność liczenia się z efektem swego słowa, który poprostu cała czytająca Polska przeżywała. Równocześnie jednak przyszła wszechstronna i poważna krytyka. Z całej literatury o „Ogniem i Mieczem" zachowają zawsze swą wartość wszystkie artykuły o tej powieści, które wyszły w r. 1884/85, a więc Tarnowskiego, Kraszewskiego, Chmielowskiego, Świętochowskiego, Jeża, Prusa, Dzieduszyckiego, nie mówiąc już o całej plejadzie mniej wybitnych (tyt. u Korbuta). Spotkały wówczas Sienkiewicza, obok peanów St. Tarnowskiego, który, wobec faktu apoteozowania szlachetczyzny i arystokracji, stracił wogóle wszelką równowagę sądów, ucząc na wykładach, że „Ogniem i Mieczem" przewyższało Shakespeare'a, Miltona, Tassa i Goethego na przyczynek, — ostre słowa i ciężkie zarzuty, chociażby Prusa i Jeża. Nikt bowiem nie byłby się domyślał w ocenach Sienkiewicza lat 1884/85 przyszłego autora „Potopu", a raczej na porządku dziennym były uwagi Świętochowskiego, że Sienkiewicz zaimponował mu „biegłością w rozpoznawaniu herbów na arystokratycznych gmachach i karetach". Nie moją zaś pracą jest naprowadzanie tych wszystkich kąśliwości o snobiźmie Litwosa — Sienkiewicza, wstydliwie przykrywającym ową „kamieniczkę" na Pradze, jakiemi raczyli go w czasach przed 1883 koledzy-dziennikarze. Są to oczywiście momenty decydujące dla oceny poszczególnych części t. zw. Trylogji, którą się później z zamiłowaniem na tysiącach stronic stale „hurtem" omawia.

Niewątpliwie jednak wśród głosów krytyki najbardziej zaważyć musiały na szali artykuły Zygmunta Kaczkowskiego, które, ukazując się przez trzy miesiące (od 5.VIII do 5.X. 1884), w cenionym i poczytnym „Wędrowcu", trzymały całą inteligentną opinję w napięciu. Ponownie musimy potraktować osobę i stanowisko Kaczkowskiego genetycznie, a nie przez pryzmat tych nikczemności, o których teraz o nim wiemy, ani przez pryzmat jego obecnego stanowiska w dziejach naszej literatury. Przed „Ogniem i Mieczem" był Kaczkowski najznakomitszym powieściopisarzem szlacheckiej Polski, a zarazem w swem starciu z Sienkiewiczem nieporównanie lepszym znawcą XVII wieku, który dzięki znajomości zbiorów Ossolineum, mimo pobytu w dalekiej Francji, w niejednem przewyższał Kubalę. Wprost szkoda, że uwagi Kaczkowskiego o Jeremim Wiśniowieckim, rozproszone w literackim artykule, nie dotarły do naszej historjografji, a to mimo tego, że nie miał w Paryżu przy sobie żadnych źródeł, nie znał publikacyj niepolskich, a mylił się w ocenach wojskowych Jaremy, jak wszyscy wychodzący w sądach z djarjuszy jego dworzan, które przechowuje Ossolineum. Nic dziwnego więc, że ciosy krytyki zadane młodemu, choć wulkanicznemu i olśniewającemu wybuchowi sukcesu Sienkiewicza, musiały zaważyć na jego rozwoju, chociażby ze względu na ówczesną wagę gatunkową wymienionych nazwisk, oraz zarzuty, że „uległ wpływowi kastowej tradycji", oraz że „Matejko stoi o cały świat wyżej od niego, o cały świat ducha", co w stosunku do autora „Ogniem i Mieczem" było niewątpliwie słuszne.

Wszystkie te momenty, które oczywiście mogę tylko szkicować, przebudowały psychikę Sienkiewicza, pogłębiły go nieporównanie w stosunku np. do autora „Na jedną kartę" z roku 1881, gdzie nie brak jeszcze tonów i wyrażeń, niesłychanie przypominających głośną — Mniszchównę.

Sienkiewicz rozszerza w szybkiem tempie pod wrażeniem krytyki swe wiadomości historyczne. Zarazem jednak, pod wpływem niebywałego sukcesu, wzrasta w nim w stosunku do polskiej przeszłości, a zwłaszcza polskiej arystokracji, jego samopoczucie i prawo sądu. Pozwolą mu one w przyszłości nie być nadal tym autorem „Ogniem i Mieczem", który np. wspominając o Czetwertyńskim, zapuścił zasłonę na dalsze szczegóły, zawarte w czytanem przez siebie źródle (Michał Ks. Pam. str. 157).

Przedewszystkiem jednak zmienia się w tych latach 1884/85 stosunek Sienkiewicza do dziejów Polski, a jego zrozumienie naszej przeszłości obraca się na coraz rozszerzanej osi znajomości źródeł i literatury — o całe sto osiemdziesiąt stopni.

Jeśli poprzednio dzieje Polski w momencie przystępowania do pracy nad „Og-

---

JULJAN PRZYBOŚ

## LIPIEC

Na świadectwach, wzbici w radość, odlecieli uczniowie,
jeszcze wiatr drży po ich śmigłym zniku.

Wakacje, panie profesorze! Pora
trzepać wesoło słowa jak futra na wiosnę
oraz
czasowniki przez lato odmieniać!

●

Wóz przetoczył się znagła — i w łozinie zzieleniał.
Tylko pustki rozpryśniętej w słońcu — udar.
Skacząc z bryczki, zaoczę:

Bosonogi gęsiarek biegł, zaczerpnął ze źródła,
znikł, jakgdyby on wybiegał
potoczek.

●

Okolicę, serce wyniosłe, przeszywa naprzestrzał
strumień!

Lecz z połogich pagórków — wahającą się odpowiedź —
inne wzgórze — dalszą górę kołysze.

Jak ten skryty poryw widoku i ciszę zatuloną w szumie
szeptanemi pytaniami — wydać?

Jakże w cieniu, pod lipą — przysłowieć?

niem i Mieczem" ciągnęły go jak krynica, w której chciał się zanurzyć — według własnych słów — w ucieczce od „bohaterów-liliputów, od rozczulania się na kwincie za cienko brzmiącej" (Feldman, „Współcz. Lit. Pol." VI wyd. str. 94), to obecnie stają mu się one źródłem idei, których mu przedtem brakowało. Przeszłość Polski staje się dla niego instrumentem, na którem mu każe grać już nietylko pęd artystyczny, ale poczucie odpowiedzialności wobec czytającej polskiej masy narodowej. Ziarna rozrodcze tego zwrotu można już było wyczuć w roku 1880 w wyborze Szujskiego, a nie Kubali, dla osoby Jana Kazimierza. W tym to zwrocie zasadniczym, uplastyczniającym się szczególnie na dziejach autora „Trzech Muszkieterów", a „Ogniem i Mieczem", tkwi cała wielkość Sienkiewicza, cała racja, że określenie go, jako „duchowego wodza narodu" nie brzmi nawet dziś jeszcze w Polsce kakofonicznie. Choć nie powiedział tego nigdzie wprost, (oczywiście, o ile mogłem to stwierdzić), dał Sienkiewicz swemi dziełami, a przedewszystkiem „Potopem", wyraz i dowód, że pogłębiając się, zrozumiał to, czego — niestety — jeszcze dziś wielu ludzi nie rozumie.

Dzieje dawnej Rzeczypospolitej, od XVII wieku począwszy, to nie książeczka z malowankami, to nie wzruszające „Wieczory pod lipą", to nawet nie budujący i barwny dramat powieściowy, ale tragedja, bo tragiczne było rozwiązanie. Co więcej — ta tragedja dziejów polskich nie była bynajmniej tragedją sytuacyjną, jak wynika z podejścia Sienkiewicza w „Ogniem i Mieczem", gdzie garstka szlachetnych bohaterów odpiera z sukcesem, dzięki swym cnotom, nieprzejrzane tłumy kozacko-tatarskiej dziczy, ale rzeczywistą tragedją psychologiczną, w której olbrzymie państwo staje się łupem garstki najeźdźców, jak to — mimo wszystkich swych założeń i intencji optymistycznych, oraz uświadamianej sobie idei „krzepienia serc", — pokazał nam Sienkiewicz — już w „Potopie".

Nie jakieś fakty, czy struktura fabuły, podyktowały Sienkiewiczowi tę zmianę podejścia, ale przemyślenie dwuletnie tego, co przeczytał, a na co jeszcze, planując jednotomowy romansik „Wilcze gniazdo", nie miał ani czasu, ani potrzeby. Lata, do których się posunął, były przecież okresem pewnego rodzaju regeneracji, chociaż krótkotrwałej, a zwłaszcza widocznej na tej, najbardziej przez Sienkiewicza opisywanej, dziedzinie, t. j. wojskowej. Teraz w latach „Potopu" ta sama jazda, która w 1648 za przykładem i pod wodzą Jaremy uciekała w panice, bez walki, z pod Piławiec do Warszawy, czy aż za Wisłę, gdy innych znalazła wodzów, tych rzeczywistych już bohaterów z „Potopu", idzie naprawdę szarżą „rysią" na najlepszego żołnierza w ówczesnej Europie. Teraz nawet szlachta wielkopolska tworzy partje, które biją się ze Szwedami, jedno tylko pospolite ruszenie, jak zawsze, powoduje przejściową przegraną pod Warszawą, mimo dwukrotnej przewagi liczebnej. Jest to bowiem ze stanowiska wojskowego objaw zupełnie naturalny, a znany zbyt dobrze całemu narodowi francuskiemu, który mimo to bynajmniej nie ukrywa pod korcem, że pierwsze wojska rewolucji francuskiej uciekały w popłochu, póki nie dostały organizatora w Carnocie, a dowódzców w przyszłych marszałkach napoleońskich. Sądzę — by zaznaczyć tak całkiem nawiasem — że nasze, polskie samopoczucie powinno już być dziś dość silne i świadome celu, by te zagadnienia w ten sam sposób stawiać.

„Potop" bowiem, jak już zaznaczyłem, jest krańcowem przeciwstawieniem „Ogniem i Mieczem", jako koncepcja autora, jej przeprowadzenie, budowa, rozmieszczenie treści i przestrzeganie od początku pewnej idei, w sensie wskazań politycznych dla narodu. Jest to moment stwierdzony wogóle w twórczości Sienkiewicza, bo uwidoczniający się bez podstaw historycznych i genetycznych w stosunku „Rodziny Połanieckich" do „Bez Dogmatu". By dojść zaś do faktu przeciwstawiania się sobie „Ogniem i Mieczem" i „Potopu", bardziej celowe, niż rozczytywanie się w tem, co się komu w „Trylogji" podoba, będzie rzucenie okiem chociażby tylko na pierwsze strony „Potopu".

Sienkiewicz porzuca swe stracone pozycje ukaińskie, przenosi się w dzielnicę, gdzie z poczuciem prawdy dziejowej mógł szukać dla tych lat postaci dodatnich. Na tym terenie ustawia je w takich charakteryzacjach, w jakich mogły istnieć, bo już wtenczas obojętnem jest, jakiemi w swoich szczegółach były. Dodatnie bowiem postacie „Potopu" mogły istnieć, ale sfantazjowani tak pięknie b o h a t e r z y „O g n i e m i M i e c z e m" s ą h i s t o r y c z n ą n i e m o ż l i w o ś c i ą. Znika niebopienna cnota Skrzetuskiego, w służbie kniazia Jaremy z pod Piławiec i Lwowa, która dla kogoś znającego wiek XVII jest czemś tak nie do strawienia, jak byłby w powieści dnia dzisiejszego ascetyczny mnich, zarobkujący na życie, jako tancerz. Zjawia się człowiek wieku XVII z krwi i kości, postać nietylko najlepsza całej „Trylogji", ale żywa, prawdziwa, a dodatnia, — Kmicic, obok którego godnie może stanąć tylko Maćko z Bogdańca.

Wraz z wymianą bohaterów odwrócony w „Ogniem i Mieczem" obraz rzeczywistości dziejowej wraca z miejsca od pierwszych kart do n o r m a l n e g o p o ł o ż e n i a. Dwór Kmicica, z wszystkimi jego zabijakami, bije nietylko talentem, ale życiem i prawdą, a równocześnie od pierwszych stronic poczyna się Sienkiewicz z „Potopu" przeciwstawiać autorowi „Ogniem i Mieczem". Jeśli w „Ogniem i Mieczem" nie wahał się Sienkiewicz w pierwszych częściach dać rodzaju aprobaty, że Jarema bez sądu i prawa ku temu, mordował tak, by „czuli, że umierają", to w „Potopie" „regalistka" Oleńka z miejsca zaplonie ogniem oburzenia i groźby, że jej Kmicic „łyczków" Upity kazał sprać batogami za niedawanie żywności jego żołnierzom. Możnaby tak punkt za punktem zestawiać i porównywać myśli i osądzanie ówczesnych zagadnień przez autora „Potopu", a autora „Ogniem i Mieczem". Jest to praca krytyków, wystarczy jeśli zwrócę uwagę, że ten pogłębiony autor „Potopu" ma już tony przemyślanej, smutnej, a niepodkreślanej palcem ironji, do której autor „Ogniem i Mieczem" nie był jeszcze przygotowany. Np. miecznik Bilewicz — postać dodatnia — wódz partji powstańców przeciw Szwedom, z głębi przekonania mówi „a cóż jest Ojczyzna, jeśli nie zbiór praw, przywilejów i wolności, stanowi szlacheckiemu przysługujących" (wyd. Ossol. III — 159). Podobnie — jak już wspomniałem — kończy się wyłączność szlachecka w bohaterstwie, a Sienkiewicz, przy utrzymaniu zasadniczego tonu, znajduje słowa i pomysły dla innych warstw. Nawet strona czysto fabularna pogłębia się z odejściem od elementów Dumasowskich, zresztą — jak wiadomo — najbardziej „biorących" szerokie masy czytelników. Bohater powieści — Kmicic — nie jest od dziecka wielkoludem, ale udoskonala się i uczy, chociażby szermierki, przez całe sześć tomów. Wystarczy w zamknięciu tych kilku uwag zwrócić chociażby uwagę na różnicę planu i budowy obydwu powieści. W „Ogniem i Mieczem" poszczególne tomy kończą się naprzemian bądź to punktami zwrotnemi romansu, bądź wypadkami batalistycznemi, dla „Potopu" punktami zwrotnemi, są już przejawy zmian psychicznych Kmicica, czyli ówczesnej duszy polskiej.

Prowadzi oczywiście za sobą Sienkiewicz również swoich bohaterów z „Ogniem i Mieczem", gubiąc ich zresztą po drodze, w miarę możliwości, — w osobie Skrzetuskiego, a rozbudowując coraz bardziej najlepszą atrakcję powieściową — Zagłobę, oraz wypełniając i pogłębiając treść Wołodyjowskiego, z którego zrobi potem historycznie prawdopodobnego żołnierza, zawodowego obrońcę Polski. Wszak całe czytelnictwo polskie domagało się listami, manifestacyjnemi i t. d. dalszego ciągu losów bohaterów z „Ogniem i Mieczem", co zresztą odbiło się i odbić się musiało na fabule dalszych powieści Sienkiewicza. Zniknął tylko pod wpływem uderzeń krytyk z lat 1884/85 — typ Jaremy. Zapoteozowany i jednolity typ polskiego możnowładcy w. XVII rozkłada się teraz u Sienkiewicza z „Potopu" z swej fikcyjnej wielkości na realną ambicję, zarówno zaborczą, jak zdradziecką, nikczemność, lub próżność, Janusza i Bogusława Radziwiłłów, Radziejowskiego, Jerzego Lubomirskiego, bo Sapiesze i Zamoyskiemu została w uznaniu tylko poczciwość. Sienkiewicz „Potopu", wzmocniony w swem samopoczuciu sukcesem r. 1883, nie ma już fikcyj wiszących w powietrzu, ani drobnych koncesji i poszukiwań „znakomitych" imion, mimo, że np. Zamoyscy mają niezłą hipotekę w naszych dziejach.

Zadadzą mi może czytelnicy tych artykułów pytanie, czy późniejsze, a nieprzewidziane części „Trylogji" są zgodne z prawdą dziejową XVII wieku. W tem miejscu pora wypowiedzieć to stanowisko, które uważałem za niedopuszczalne przy „Ogniem i Mieczem", a które najlepiej sprecyzował sam Sienkiewicz, stawiając postulat dla strony historycznej, by powieść „nie przekręcała historycznych zdarzeń", a więc istotnej treści dziejów. „Jeśli autor tak czyni, ujma spadać powinna na niego". („O powieści historycznej". Pisma nieob. wyd. zbior. I str. 97), co nie może oczywiście odnosić się do niego samego, gdyż subjektywnie chciał dać prawdę. Pozatem, — zdaniem Sienkiewicza — „chodzi o to, by owe zdarzenia prywatne były logicznie zgodne z barwą i nastrojem danej epoki" (tamże 101). Jednem słowem, warunkiem powieści historycznej powinien być zgodny z rzeczywistością nurt spraw i ludzi, a dlatego rzeczą raczej obojętną dla czytelników, choć niewątpliwie zasługującą na uwagę krytyków literackich, jest zagadnienie, o ile szczegóły fantazji zbliżają się do prawdy historycznej. Z pewnością nie byłbym zabierał głosu w sprawie „Ogniem i Mieczem" np. dlatego, że rzeczywisty Bohun był ciężko ranny, ku wielkiemu zmartwieniu Chmielnickiego, przy brawurowym czynie pod Zbarażem, — o czem Sienkiewicz nie wiedział, — a nie w tych wszystkich walkach i pojedynkach, jak to opowiada „Ogniem i Mieczem". Podobnie istoty rzeczywistego obrazu w „Potopie" nie naruszy zagadnienie, czy Tatarami już od Lwowa i marca r. 1656 dowodził powieściowy Kmicic-Babinicz. Pewne głębsze nawet błędy, a raczej opuszczenia wyniknęły automatycznie z kontynuowania dziejów postaci, wprowadzonych w „Ogniem i Mieczem". Patrjarchalna księżna Gryzelda w rzeczywistości pustoszyła przy pomocy Wiśniowieckich w r. 1666 dobra Zamoyskich („Prawem i Lewem" I — 67). Tak samo nie mogli bohaterowie „Potopu", t. j. Czarnieccyzy przychylać się ku wyborowi syna Jaremy, bo tych prawdziwych „regalistów" „Potopu", (wśród których Sienkiewicz umieścił Michała Wołodyjowskiego we wstępie (str. 2) do „Pana Wołodyjowskiego") zaskoczonych w moczarach Noteci, wyrżnęły do nogi pod Mątwami szable polskich rokoszan Lubomirskiego, z okrucieństwem i barbarzyństwem (por. Szujski II — 467), nienapotykanem między walczącemi wojskami w wojnach kozackich lat 1648/49. Możliwość dojścia do skutku wyboru Piasta, czy Michała Wiśniowieckiego, była właśnie uwarunkowana wyrżnięciem bohaterów „Potopu", moment, który przeskoczył Sienkiewicz celowo i świadomie, przechodząc odrazu w toku fabuły „Pana Wołodyjowskiego" do czasów po abdykacji Jana Kazimierza.

Po „Ogniem i Mieczem" i dyskusjach lat 1884/85 stale już będzie towarzyszyć powieściom historycznym Sienkiewicza tak charakterystyczna dla polskiego sposobu myślenia, nawet w artyźmie, idea, czyli wskazania dla narodu, odtąd konsekwentnie przeprowadzane w „Potopie", w „Panu Wołodyjowskim", w „Krzyżakach", oraz w „Quo Vadis", gdzie nawet ogólnoświatowa ideologja ma przez osobę Ligji swoje polskie zabarwienie. Sienkiewicz bowiem, stanąwszy raz wysoko niebywałym sukcesem „Ogniem i Mieczem", — potrafi, dzięki swemu zmysłowi odpowiedzialności, sztandar swój trzymać wysoko.

Innem już zagadnieniem jest sprawa wykresowej krzywej artyzmu po której wyżywa się jego talent. Sienkiewicz jest wybitnie talentem ewolucyjnym, który się wyrabia. Po rzeczach zdecydowanie słabych, trafia na najwłaściwszą sobie drogę w powieści historycznej i po uświadomieniu sobie plusów i minusów, pracuje stale nad sobą, by się utrzymać na wyżynie. W żadnym może zrębie jego twórczości nie przejawia się to tak, jak w trzech powieściach, objętych potem przez niego samego koncepcją Trylogji, z których każda jest reprezentantką innej fazy i innych cech jego twórczości.

„Ogniem i Mieczem" jest nieskalkulowanym wybuchem g e n j a l n e g o t a l e n t u powieściopisarskiego, którego jeszcze nie hamują „ale" źródeł, ani też naogół obowiązki odpowiedzialności za wpływ na czytelnika. „Potop" jest pomnikiem w y p r a c o w a n e j g ł ę b o k o ś c i Sienkiewicza, która nigdy nie pozwoli go mierzyć skalą Dumas'a, chociaż niewątpliwie poczucie odpowiedzialności, założenia moralne i pedagogiczne zaciążyły siłą rzeczy poprostu ujemnie na piórze i artyźmie autora „Ogniem i Mieczem". Narracyjny i sielankowy charakter „Pana Wołodyjowskiego" z wytwornie ukrytą ideą słów Wołodyjowskiego do Basi: — „nic to", jest wyrazem s h a r m o n i z o w a n i a o b y d w u p o p r z e d n i c h e l e m e n t ó w, przy widocznem wyczerpaniu napięcia zarówno pierwszego, jak drugiego. Syntetyczni krytycy literaccy lepiej od piszącego te słowa wytłomaczą, czy, jak i dlaczego w tem ujęciu „Trylogji" są do odszukania przejawy filozoficznych koncepcji Hegla o dziejach i rozwoju ducha ludzkiego.

Sharmonizowany Sienkiewicz utrzymuje się długo na zdobytych wysokościach, by potem swą linję ewolucyjną gwałtownie obniżyć, z uderzeniem nietyle wieku XX, ile z nadejściem Polski doby rewolucyjnej. Zarówno na terenie powieści historycznej był wyczerpany, jak w zakresie powieści współczesnej, co stwierdzają „Wiry". Odżywa jeszcze raz niezrówna-

nie twórczości Sienkiewicza, gdy przenosi się na zupełnie nietknięty dotychczas teren, — powieści dla młodzieży, tak jak zmysł odpowiedzialności odżyje w całej pełni z uderzeniem wielkiej wojny, już nie dla pisarza, ale dla człowieka. Opuści najpierw teren rosyjski, potem austrjacki, by dokonać żywota na ziemi neutralnej, przy pracy przez wszystkich cenionej, nie pozwalając się, np. w sprawie aktu 5 listopada, pociągnąć ku protestom, t. j. ku krokom, z któremi jego zmysł odpowiedzialności się nie zgadzał.

Obok bowiem genjalnego talentu z łaski Bożej, który przyniósł „Ogniem i Mieczem" resztę późniejszej spuścizny Sienkiewicza nietylko wielkiej, ale także słabej, musimy rozpatrywać pod kątem tego pokolenia, uplastyczniającego i wypowiadającego się obok niego np. w ówczesnym dorobku krakowskiej Akademji Umiejętności, które, działając po powstaniu styczniowem, a przed ruchami rewolucyjnemi wieku XX, pracę naukową i literacką rozumiało nie jako pole efektu i sukcesu osobistego, — ale jako sobie wyznaczoną służbę dla Ojczyzny.

# MARJA DĄBROWSKA

## LAUREATKA NAGRODY PAŃSTWOWEJ ZA ROK 1933

MARJA DĄBROWSKA

Tegoroczną państwową nagrodę literacką otrzymała, jak wiadomo, Marja Dąbrowska. Do powszechnego uznania, z jakiem spotkał się ten wybór w prasie, dołączamy i nasz głos. Dąbrowska należy do najpoważniejszych prozatorek w naszej literaturze. Wysokie poczucie odpowiedzialności, wyrażające się w niezwykłem poczuciu miary — najszerzej pojętej — to chyba cecha naczelna jej pracy. Pojęcie miary w literaturze jest zagadnieniem dystansu wobec opisywanej rzeczywistości. Chodzi tu o to, aby trafić w sam rdzeń akcji życiowej, nie naruszając własnych kompetencyj, a więc wytworzyć stan harmonji między sobą a światem. Ten stan harmonji osiąga Dąbrowska w swoich książkach.

Od drobnych utworów dla młodzieży, jak „Dzieci Ojczyzny", „Uśmiech dzieciństwa" lub „Marcin Kozera", po przez świetne i nowe obrazy bytu chłopskiego w „Ludziach stamtąd", aż do epickiego kształtu „Nocy i dni" — Dąbrowska nie ustaje w budowaniu coraz wyższych form przymierza między wyobrażeniem o życiu a samym tego życia procesem. Stąd uderzające wrażenie objektywności i prawdy, stąd również jednomyślny, aprobujący stosunek publiczności do przedstawionych przez autorkę obrazów. Dąbrowska dała w swych dziełach, zwłaszcza w cyklu „Noce i Dnie", to, czego oddawna nie spotykaliśmy w polskiem piśmiennictwie: pozytywne uznanie dla spraw dziejącego się bytu. W pisarstwo nasze, którego klasa literacka wypowiadała się pobudką bojowej, dramatycznej postawy autora, ciągłym fermentem wojującego stosunku do rzeczywistości, Dąbrowska wnosi ton spokoju, zgody i opanowania. Mądrość jej dociera do elementów, które pozwalają jej nietylko rozwiązywać i wyjaśniać komplikacje życia, ale również **i usprawiedliwiać ich psychologiczną i dziejową konieczność.** Stąd wszystko wydaje się w jej interpretacji takie proste i zrozumiałe, wywołując naturalne odprężenie w zgorączkowany — romantyzmem — rytm polskiej prozy.

Dla zrozumienia popularności Dąbrowskiej, na ten moment należy szczególną zwrócić uwagę. Od początku bowiem XIX w., po nasze dni, gorączka ta cechuje utwory najwybitniejszych twórców. Jest to w rozmaitych warjantach i rozmaitej skali powtarzający się motyw: mierzenia sił na zamiary. Zawsze czegoś się chciało, czego życie nie mogło dać. Zawsze atakowało się je, jak bryłę, z której pisarz wywodził kształt własnego marzenia, aby zkolei przekuć je na wizję przyszłości lub na oręż walki o nią. Pisarze — oczywiście ci więksi — świadomie komplikowali ewolucyjny ciąg życia, wyławiali zeń momenty rewolucyjne, aby tylko nie dopuścić do łatwego z niem sojuszu, aby utrzymać stan buntowniczego napięcia wobec politycznie czy psychicznie złej rzeczywistości. Dotyczy to zarówno zjawisk przeszłości jak i każdorazowej teraźniejszości, nietylko w literaturze minionego, lecz i współczesnego pokolenia.

Dąbrowska pierwsza bodaj ujmuje sprawy życia polskiego od strony ich powszedniego przebiegu. W ludziach i zdarzeniach upatruje, w przeciwieństwie do innych pisarzy, nie element indywidualności, lecz właśnie **typowości.** Ujawnianie bowiem typowości, prawie zawsze staje się wskazywaniem na ogniwo łączności między człowiekiem a ludźmi. I w tem — jak się zdaje — tkwi przyczyna wspomnianej poczytności „Nocy i Dni".

Gdy inni ukazywali patos dramatycznych różnic, wyłamujących człowieka z szeregu, Dąbrowska ustala patos związku jednostki z masą, jednostki — zgodnie z atmosferą nowego realizmu — przeciętnej, zwykłej, pospolitej.

Bohatera swego, Bogumiła, bojownika powstania 63 r., odziera z wszelkiej pozy romantycznej, czyni zeń prostodusznego pracownika, niemal prostego oracza, który jakby na chwilę ustąpił z pola ornego, aby spełnić obowiązek na polu bitwy i wrócić coprędzej na rolę, taksamo trudząc się dokoła gospodarstwa, rodziny i spraw osobistych, jak poprzednio w walce o wolność. A dalej, przeżycia wykolejonego rewolucją i zwolna urbanizującego się ziemiaństwa przedstawia autorka w procesie tak pospolitych, codziennych, że aż prawie niewidzialnych przemian, że jedynie subtelne naświetlenia ironiczne wskazują na cel ideowy obrazu. Ten sam stosunek dotyczy rodzących się po powstaniu prądów społecznych i ruchów narodowo-politycznych, a więc rewolucyjnej akcji socjalistycznej w kraju i zagranicą, zwłaszcza z półuśmiechem humoru traktowanych zabiegów młodzieży i całej pryncypjalnej naiwności ich dyskusyj. Wszystko to ma tchnąć **typowością** przejawu ludzkiego. Bo nawet postać Marcina, zpoczątku, zdawałoby się, psychicznie bardziej zindywidualizowanego, później rozpływa się w szablonowości konfliktu wewnętrznego między sprawą ojczyzny i sprawą serca. Hamletyzm społeczno-erotyczny młodzieńca, posunięty do histerji — jakże już daleki i obcy jest tego rodzaju rozdarciom w życiu np. bohaterów Żeromskiego.

We wszystkich tych scenach i postaciach Dąbrowska przeprowadza generalne uziemienie tradycyjnie romantycznych haseł, symbolów i ludzi, ściągając wyniosły, wyobrażeniowy stosunek do życia na grunt potoczności i wskazując na udział tej właśnie potoczności ludzkiego zachodu w tworzeniu się historji. Nic tak ludzi nie przekonywa do ich własnej dziejowej przeszłości jak możność poznawania jej w granicach ich własnej miary. Zdolność rozpoznawania siebie w tem cudzem życiu, jest najprostszą drogą do uznania siebie w tem cudzem życiu i — wzajemnie — odczucia go w sobie.

Możnaby wprawdzie spierać się z autorką, że tego przymierza między pokoleniami nie zawiera na podstawie tragicznej dyskusji z przeszłością, że nie pobudza czytelnika wizją dramatu, tkwiącego w realizmie przeszłości, ograniczając się do obrazu wyrozumiałej ciągłości tego realizmu, nic zmienia to jednak faktu, że w obrębie zamierzonego zadania czyn artystyczny Dąbrowskiej posiada wybitny wymiar społeczny. W duchu czasów, które przeżywamy i których znamieniem jest twórczy, odżywczy krytycyzm, autorka „Nocy i Dni" ukazała ludzkie korzenie historycznego rozwoju, tem samem stwarzając dla naszego poczucia dynamicznej nowości dnia dzisiejszego — oparcie, w pozornie dalekiej — a tak przecie bliskiej przeszłości.

L. P

# „GDY SIĘ JEST KIMŚ"

## NAJNOWSZA SZTUKA PIRANDELLA

Marta Abba, od lat wielu realizująca i interpretująca na scenie dramaty Luigi Pirandella, wystawiła obecnie na inaugurację włoskiego sezonu teatralnego najnowszą sztukę swego mistrza pod tytułem: „Quando si è qualcune" („Gdy się jest kimś"). Premjera odbyła się w świeżo założonym, stałym teatrze w San Remo w obecności gości, zaproszonych z całych Włoch. Oprócz wybitnych krytyków rzymskich i medjolańskich zjechały również liczne osobistości ze świata politycznego, jakoteż kilku członków Akademji włoskiej, by uczcić Pirandella, swego kolegę z Akademji. Podobnie jak dawniejsze sztuki twórcy „Sześciu postaci w poszukiwaniu autora" opiera się również ostatnia sztuka Pirandella na problemie, w który nas autor wprowadza doskonale w pierwszym akcie. Następne służą już li tylko do pogłębienia poruszonego zagadnienia, jakoteż do plastyczniejszego odmalowania tła, na którem rozwija się akcja sztuki.

Czołową postacią nowego dramatu Pirandella jest znakomity poeta, nazwany przez autora „Qualcune" — Ktoś. Powszechnie czczony i przez wszystkich za wielkiego uznany, czuje „ktoś" jak syt już sławy i zaszczytów poczyna skorupieć niejako i zasklepiać się w swej wielkości, nie mogąc rozwinąć skrzydeł do swobodnego lotu w nową dziedzinę myśli. Sława bowiem obowiązuje i nie wolno wkraczać na drogę, odmienną od utartych szlaków dawnej twórczości. Ponieważ całe jego jestestwo buntuje się przeciw owemu zasklepieniu, napisał i wydał pod pseudonimem Délag, tom poezji o podkładzie wybitnie nowatorskim. Sensacja niebywała! Zachwyt ogólny! To jest dopiero poeta"! — odzywają się głosy krytyków. „Ktoś" wyrzuciwszy z siebie snop nowych myśli rewolucyjnych, odradza się zarówno jako człowiek. Wspomaga go walnie niespodzianie zrodzone z odwzajemnienia uczucie do młodej rosjanki, Verosci, która wprowadza zupełny przewrót w monotonne i banalne nagół życie wielkiego poety. Pod naciskiem swych krewnych opuszcza „Ktoś" własny dom, gdzie dławi go przepojona banałem, atmosfera przy boku przeciętnej, czułej żony i dorastających dzieci, pławiących się z rozkoszą w sławie ojca. W fantastycznem mieszkaniu przybyłego niedawno z Ameryki siostrzeńca, Piotra, ożenionego z siostrą uroczej i figlarnej Verosci, odradza się pięćdziesięcioletni „Ktoś", młodnieje, stając się znów sobą, pełen swobody, nieskrępowany więzami, które obowiązują człowieka, otoczonego sławą i zaszczytami i cieszącego się uznaniem pubilczności, prasy i najwyższych sfer rządowych. W ciągu akcji, w czasie której bierze jeszcze udział grupa krytyków, dawny wydawca i przyjaciel „Ktosia", jakoteż jego protektor, minister Gianfredi, wychodzi niespodzianie na jaw, że rewolucyjny i rewelacyjny poeta, to nikt inny, jak właśnie sam „Ktoś". Konsternacja ogólna! I teraz z końcem pierwszego aktu załamuje się, a raczej kończy właściwa akcja sztuki. „Ktoś" pod naciskiem opinji musi wrócić do dawnego, nużącego trybu życia, musi słuchać znów szablonowych, męczących go zachwytów krytyki, musi na tle pięknej bibljoteki w swoim domu pozwalać okadzać się licznym wielbicielom, musi pozwalać rojowi fotografów na fotografowanie go w najrozmaitszych pozach. Nie pozostawia go w spokoju również operator filmowy. Utrwala się nawet na płytach nieśmiertelne poezje poety, któremu niedługo już grozi upodobnienie się do otaczających go popiersi świetnych poetów włoskich: Dantego i Ariosta, Leopardiego i Foscela.

Trzeci akt sztuki jest jakby ceremonją koronacji poety na Kapitolu! Rzecz rozgrywa się w ogrodzie, prowadzącym do wspaniałej willi „Ktosia". Wewnątrz odbywa się właśnie uroczyste składanie hołdu największemu z wielkich współczesnych. Poeta, oszołomiony uroczystością, w której biorą udział tłumy jego wyznawców i wielbicieli, jak również młodzież, dla której „Ktoś" przeznaczył ową willę na zakład naukowy, nie jest już wrażliwy nawet na spojrzenia oburzonej do głębi Verosci, która gardzi „Ktosiem", iż ulegając narzuconemu mu szablonowi wraca bez wahania do dawnego trybu życia. „Ktoś", zmęczony i jakby skamieniały, zasiadłszy w białem, letniem ubraniu w wygodnym fotelu, czyni wrażenie statuy na podobieństwo tych, które zdobią jego pokój bibljoteczny.

Ciekawy problem sztuki, rozciągnięty na trzy akty, nuży, gdyż akcja nie rozwija się w należytem tempie. Można zatem o najnowszym utworze Pirandella powtórzyć bez zastrzeżeń to, co tylekroć o jego dramatach już mówiono, iż akcji, w założeniu bardzo zajmującej, nie starczy na wypełnienie wieczoru teatralnego i sztuka nie wytrzymuje realizacji na deskach normalnego teatru. W teatrze natomiast eksperymentalnym może nowa sztuka autora „Henryka IV", zająć tak samym problemem, jakoteż ujęciem i postawieniem niektórych postaci, przedewszystkiem dominującej osobowości „Ktosia".

Po przeczytaniu tego ostatniego utworu Pirandella, nasuwa mi się mimowoli dawne moje twierdzenie, że Luigi Pirandello — to przedewszystkiem genjalny nowelista. Albowiem każdy, niezmiernie oryginalny, nieraz makabryczny i tragizmem swym mrożący temat, znajduje w mistrzowskiej formie noweli swój pełny wyraz.

Prawdziwie szkoda, że Pirandello jest tak mało u nas znany właśnie jako autor kilku setek znakomitych nowel.

*Fr. S.*

# NOTATKI

### FRANCUSCY LAUREACI W R. 1933.

Nagroda Akademji Goncourt'ów, t. zw. Prix Goncourt, została przyznana André Malraux za powieść „La Condition Humaine".

Prix Femina zdobyła w tym roku p. Geneviève Fauconnier za powieść p. t. „Claude" (Klaudja).

Nagrodę „Theophraste Renaudot" otrzymał Charles Braibant za powieść „Le roi dort" (Król śpi).

Laureatem „Prix Interallié" został Robert Bourget-Pailleron za powieść „L'Homme du Brésil".

Nagrodę poetycką „prix Moréas" otrzymał Jean Lebrau, autor zbiorów poezyj: „Images de Moux" i „Ciel sur la Garrogne".

Nagroda znanego tygodnika paryskiego Gringoire została przyznana Xavier de Hautecloque, autorowi reportaży: „W cieniu swastyki" (z pobytu w domu brunatnym, obozach pracy i t. d.) oraz „Ci, którzy przebijają granice" (Perceurs des Frontières).

### JÉROME I JEAN THARAUD O ŻYDACH

Jérome i Jean Tharaud wydali w listopadzie 1933 r. reportaż p. t. „Kiedy Izrael przestał być królem". (Quand Israël n'est plus roi), w którym rozważają sprawy prześladowań żydów w Niemczech. Autorzy, nie dając się ponieść uczuciom litości dla prześladowanych, ani uczuciu oburzenia dla prześladowców, z chłodnym objektywizmem starają się tylko oddać czyste fakty jakie miały miejsce. Traktują oni rasizm nie jako przelotną gorączkę rewolucyjną, lecz jako konsekwentny ruch.

### JEHAN RICTUS I FAGUS

Prasa literacka francuska poświęca sporo miejsca wspomnieniom i rozważaniom twórczości zmarłego ostatnio Jana Rictus, poety, znanego jako autora „Soliloques du Pauvre", zbioru wierszy, pisanych w gwarze miejskiego proletarjatu Paryża. Autor rozpoczął swą karjerę literacką pod silnym wpływem symbolistów. W r. 1896 nagle porzucił dotychczasowe wzory i rozpoczął nową fazę twórczości której rezultatem były „Soliloques du pauvre". Te właśnie wiersze, recytowane w kabarecie Quat'z arts przez autora zdobyły mu uznanie krytyki i popularność. Właściwe nazwisko poety brzmiało: Gabriel Raudon de Saint Amand.

Prawie równocześnie z Janem Rictus zmarł inny poeta, którego imię wiążą z Villonem, Baudelairem, Nervalem, — Jan Fagus.

MICHAŁ J. LERMONTOW — Przełożył S. R. DOBROWOLSKI

# DZIENNIKARZ, CZYTELNIK I POETA

Les poètes ressemblent aux ours, qui se nourissent en suçant leur patte.
Inedit.

Pokój poety; opuszczone sztory. Poeta siedzi w wielkim fotelu przed kominkiem. Czytelnik, paląc cygaro — stoi plecami zwrócony do kominka.

Wchodzi dziennikarz.

**Dziennikarz.**

Że Pan choruje, — bardzom rad;
wszakże zbyt szybko — och! niestety!
niweczą boskie sny poety
przyziemne troski, gwarny świat.
Wśród wielu różnorakich wrażeń,
na miedź zmieniwszy walor duszy,
frazesów łupem stać się musi.
Jakże to w uciech czczym rozgwarze
dojrzałych dzieł zapłonąć blask ma?...
Lecz zato jaka nieba łaska,
gdy ześle mu na swe zechcenie
wygnanie albo też więzienie
czy też obdarzy go chorobą:
O wtedy — sam na sam ze sobą —
dopieroż słodka pieśń się wzbije!
Niekiedy w smutek się obwije,
sam w swym uroku rozkochany...
No cóż Pan pisze, proszę Pana?
Czy mógłbym wiedzieć?

**Poeta.**

Nic.

**Dziennikarz.**

To trudniej!

**Poeta.**

O czemże pisać? Wschód, południe
opiewać raz tysiączny jeszcze?
Motłoch besztali wszyscy wieszcze,
wszyscy chwalili swojską strzechę,
pod niebo duszą wzlatywali,
albo z skrytemi się zwracali
modłami do N.N. — niejakiej...
I dobrze dali się we znaki.

**Czytelnik.**

Ja też powiadam, że niemało
trzeba odwagi oczywistej,
by można było wziąć do ręki
chociażby nawet Pański... dziennik
(toż oczy na nim się łamało):
Popierwsze jakiś szary papier;
choć może nawet jest i czysty, —
bez rękawiczek, aż strach łapie!...
Gdy czytasz: błędów! — gadać szkoda!
Jeżeli wiersz, to sama woda:
Słowa bez sensu! Uczuć? — gdzietam!
Od naciągniętych zwrotów — gęsto.
Przytem — powiedzieć pod sekretem?
I z rytmem niezbyt dobrze — często.
A weźmiesz prozę, przekład — podłe!
Jeżeli nawet się zdarzają
powiastki na rodzimą modłę,
to albo w nich się z Moskwy śmieją,
albo też urzędników łają.
Z kogoż-że te portrety piszą?
Gdzież oni te rozmowy słyszą?
A jeśli nawet i słyszeli —
nic dowód, byśmy słuchać chcieli!...
Kiedyż z jałowej wreszcie Rosji
spadną fałszywych blichtrów więzy,
szlachetny kiedyż zabrzmi głos i
myśl znajdzie godny, prosty język?

**Dziennikarz.**

Wszakże ja również tego żądam;
jak wy, oburzam się otwarcie,
na muzę ruską — gdy spoglądam...
Krytyki moje przeczytajcie.

**Czytelnik.**

Czytałem. Drobne, mdłe nagonki
na błędy w druku lub na czcionki,
czcze aluzyjki, — gdzieś do czegoś, —
czort zgadnie, pod adresy czyje.
Może i jest w tem coś śmiesznego!
Lecz w atramencie waszym wiedzcież,
niema i żrącej żółci przecież,
ale poprostu, ot — pomyje!

**Dziennikarz.**

I z tem się każdy zgodzić musi.
Wierzcie mi, radbym z całej duszy
niczemu nie przyganiać wcale, —
lecz cóż? — kiedy i mnie nie chwalą!
Wejdźcie i w nasze położenie!
Czyta nas i pospólstwo także:
grube, wulgarne wyrażenie
nie każde uszy razi wszakże;
smak? przyzwoitość? — sens ich względny,
ale pieniądzem płacą jednym.
Spójrzcie! na jakiż my skazani
jesteśmy ciężki obowiązek.
No tylko chociażby czytanie
tych wszystkich bredni, wszystkich książek,
— i poco? — by z ostatnią kartą
stwierdzić, że czytać ich nie warto?

**Czytelnik.**

Lecz jaka rozkosz, jaka słodycz,
jakże do lotu duch się rwie,
jeżeli się tak znajdzie gdzie
utwór płomienny, żywy, młody!
Choćby przyjaciel mój, naprzykład:
jakimże stylem świetnym włada,
co za głąb uczuć — wprost niezwykła.
To jest od Boga dar nielada!

**Dziennikarz.**

No tak, lecz w tem jest cały witz,
że właśnie ci nic piszą nic.

**Poeta.**

O czemże pisać?... Bywa tak,
że ciąży sercu troska — jak
najcięższe brzemię, — dni natchnione! —
kiedy i mózg i serce płonie,
i rymy składnie, zgodnie pluszczą
spienionych fal wezbraną tłuszczą.
W ledwie zbudzonej duszy znowu
wschodzi tajemny dziw świetliście, —
i na dyszące siłą myśli
nizają się, jak perły słowa.
Wtedy swobodnie i bez drżenia
poeta w przyszłość wbija oczy —
i stoi przed nim świat w marzeniach
czysty, szlachetny i uroczy.
Te dziwne płody — pokryjomu —
sam sobie tylko czyta w domu,
a potem niemi, bez pardonu,
pali w kominie, — niechaj płoną!
Bo czyż dziecinne te marzenia,
rozwiewne, mgliste majaczenia
godne być z sztuką za pan-brat?
Tożby je wyśmiał, wykpił świat...
Bywa, że wśród bezsennych nocy
od łez piekących palą oczy,
w sercu — tęsknota, ból drapieżny.
Dygocąc w tępej, głuchej męce,
poduszkę obejmują ręce —
i strach zlepione włosy jeży;
czasem krzyk z piersi się wyplącze,
zerwie — bolesny, obłąkany, —
i język miele, jak w gorączce,
nazwy już dawno zapomniane;
Obraz dalekich rysów znów wstał
w całej świetności ich urodnej, —
pamięć rysuje je swobodnie:
w źrenicach miłość, kłamstwo w ustach,—
i znów im wierzysz mimowoli...
O jak to dobrze — i jak boli
tak zdzierać błony z dawnych blizn!...
Ot, — kiedy piszę! Gniewna myśl
dyktuje słowo mi po słowie:
uwodzicielska to jest powieść
ukrytych działań, tajnych snów...
Widmo rozpusty wraca znów;
legenda jurnych, durnych dni,
dawno straconych darmo — i
dawno na zawsze, bez powrotu
rzuconych, ot — w kałużę, w błoto —
wśród walk upartych, niewidocznych,
wśród chamstwa, kłamstwa w żywe oczy,
wśród czarnych zwątpień — i zkolei
tęczowej nibyto nadziei...
Sędzia doraźny, niewołany —
nie będę skrywał prawdy — oto
śmiało naznaczam piętnem hańby
ścierwo upstrzone łgarską cnotą, —
okrutny i nieubłagany...
Jednak odwagi już nie miałbym
te gorzkie wiersze nieść przed oczy
do takich mroków nienawykłe...
Powiedzcie, o czem pisać, o czem?
Pocóż-że sobie nam narazić
złość i nienawiść podłej zgraji,
ażeby nazywali zwykłem
oszczerstwem moje sny prorocze?
Ażeby jad tych stronic znojnych
dzieciom zatruwał sen spokojny, —
i małe, słabe serca topił,
wchłaniając w swoją groźną topiel?
O nie! występne to marzenie
mej czystej myśli nie splugawi, —
i aż za tak wysoką cenę
nie kupię sobie waszej sławy...

1840 r.

(S-t Petersburg, 21 marca. W areszcie na głównym odwachu arsenału).

# ŚWIĘTA

Nie, żebym nie lubił swojego zawodu. Pewien jestem, że nie mógłbym być niczem innem, jak właśnie literatem. Nie lubię tylko śpieszyć się z pisaniem, bo wtedy trudno ze swego worka wytrząsnąć wszystko, coby się chciało. Ale gdyby tak trzeba było zdecydować się na niepisanie powiedzmy przez miesiąc — Boże, jakież to byłoby ciężkie!

Ale przy całem umiłowaniu zawodu, bardzo lubię co pewien czas trochę wypocząć. Od tego są właśnie święta. Nie czeka żadna premjera, drukarnia nie nagli, redaktorowie tarzają się w bakaljach i cieple rodzinnem. Wszystko świętuje. Takie zawieszenie życia ma jednak dużo uroku. Mam wrażenie, że kiedy ludzie mówią o „kulturze chrześcijańskiej", to — może podświadomie — mają na myśli to zawieszenie pracy powszedniej: że w niektóre dni w roku mogą na pewniaka liczyć na wypoczynek. Ach, i nie trzeba się tem gorszyć. Wypoczynek ma też swoją mistykę, siadującą o miedzę z mistyką religijną.

Podczas tych paru dni świątecznych mogę czytać co mi się podoba. To wielka przyjemność. Nie „tracę czasu" na lekturę, jako zawodowy recenzent, który karmi się najczęściej rzeczami marnemi i nudnemi, a czyni to poto, aby powiedzieć ludziom, że wyszła nowa książka której nie powinni czytać. Recenzent, to też swego rodzaju „przedmurze", — przeciw zalewowi tandety literackiej.

W tym błogosławionym czasie wypoczynku biorę sobie do łóżka (święta zazwyczaj spędzam w łóżku) — herbarze. Niezastąpiony jest herbarz hrabiego Uruskiego p. t. „Rodzina". Nigdy nie mogę nadziwić się tym ciasnym łbom, które patrzą na taką literaturę jako na niegodny ich uwagi przeżytek. — Do djabła! Historja Polski, była może w większym stopniu niż jakakolwiek inna — historją rodzin. Urzędy, koligacje, procesy — to wszystko były jednak dzieje Rzeczypospolitej. Nigdzie tytuł szlachecki nie był niżej notowany niż w Polsce, nigdzie nie był bardziej spospolitowany, ale też nigdzie tak nie utożsamił się z narodem, nie wgryzł się tak w jego dzieje.

Nie rozumieć tego, to nie wiedzieć w jakim kraju się żyje. Jeden z nielicznych już u nas pisarzy czujących prawdziwie po szlachecku, Antoni Słonimski, przyzna mi napewno rację.

W gruncie, lektura dokumentów, to jedyna lektura godna dżentelmena. Konstrukcja, nastrój, robota artystyczna — to są bądź co bądź środki upajające. Dżentelman nie potrzebuje haszyszu. Ta lektura bez uśmiechu — a jednak z jakże wielką wymową — wymaga czegoś więcej od czytelnika niż artystycznego „wyczucia". Wymaga od niego zespolenia się z życiem historji, wtajemniczenia szlachetniejszego i trudniejszego niż zdolność współbrzmienia z ekspresjonistycznym wierszem. Zwłaszcza my, dziennikarze, publicyści, krytycy, a więc, za pozwoleniem, konstrukcjoniści, odczuwamy silnie powagę tego gatunku lektury.

W herbarzach polskich jest parę punktów drażliwych. Laik to sobie wyobraża naiwnie. Myśli zaraz o rodzinach senatorskich i niesenatorskich. Że wszystkie niesenatorskie pienią się na myśl o swej niższości wobec senatorskich. A że znowu wśród senatorskiej istnieje piekielna rywalizacja o klasę tego senatorstwa. Wogóle kto wyżej a kto niżej — to jest bardzo ciemny i zawiły problemat. Kryterja są nader skomplikowane i do pewnego stopnia mistyczne.—Owszem, to jest bolączka, ale nie najgorsza. Dość gnębiący jest termin „szlachta zagrodowa". Ale i to nie jest najgorsze. Wiadomo, że granice pomiędzy rozmaitemi klasami szlachty były płynne, że chodaczki nosiły nieraz nazwiska historyczne i wywodziły się z jednego gniazda z karmazynami. Sytuacja nie jest bez wyjścia.

Jest natomiast słowo gorzkie jak piołun: nobilitacja. Że to się wogóle kiedyś zaczęło. Że to nie spłynęło z niebios jako dar nadprzyrodzony, z rąk samego Boga. Znałem szlachcica, który drżeniem w głosie zapewniał mnie, że nie zamieniłby swego skromnego nazwiska na żadne choćby najgłośniejsze, ale „splamione" w przeszłości nobilitacją. Za najbardziej heroiczny czyn swojego żywota (słusznie zresztą) poczytywał z olbrzymim nakładem pracy i z pomocą wytrawnych heraldyków prowadzone dociekania nad przeszłością rodziny właśnie w okresie „najgroźniejszym" i dotąd niezbadanym. Historja wynagrodziła go za ten heroizm — nobilitacja nie wypłynęła.

Na Zachodzie nikogo nie boli fakt, że szlachectwo rodziny zaczęło się w jakimś momencie dziejów, owszem, to jest punkt koło którego osnuwa się ambicja rodu. Punkt narodzin. My nie lubimy zaczynać od jakiegoś momentu. Nie możemy też sobie wyobrazić, żeby ktoś badał swoją przeszłość, jeśli ona nie jest choćby w pewnym stopniu efektowna. Poco w takim razie badać? Lepiej nie zaglądać w tę przepaść. Jest w tem coś kobiecego, coś niemal dziecinnego — w tej potrzebie nadprzyrodzonego rodowodu, w tym lęku przed pospolitością poczwarki, — z której w pewnej chwili wylęga się motyl. Szlachcic, który sfałszował sobie rodowód, sporządzając dokument, zaczynający się od słów „My, Władysław Warneńczyk"— jest bardzo typowy.

Przerzucam tom po tomie. Niewygodnie czytać. Olbrzymie szare folja, ani tego utrzymać, ani obrócić. Odkładam. Zagryzam daktylem. Wypijam resztkę wina, szczypię palcami brzeg kieliszka. Zadźwięczał jak wspomnienie. Jak cały rój wspomnień z różnych czasów, stopionych w jeden akord. Jeszcze słyszę wszystkie nuty tego akordu. Jeszcze przemawiają co każda znaczy. Ale wspomnienia murszeją, kwaśnieją. Są tem podobne do win czerwonych, które, jak mówią znawcy, więcej niż dwadzieścia lat nie powinny przestać w piwnicy. Psują się. Wspomnienia, jeśli mają żyć, nie powinny przesadzać w starości. Wczas umierać. Już po śmierci nie należy ich wywoływać.

Herbarz nie jest lekturą monotonną, o nie, przeciwnie, co stronica to przygoda.

Któryś szlachcic poślubił pannę herbu Łodzia i dalejże „pięczętować się" Łodzią, zamiast jak od wieków Gozdawą. Dlaczego, pytam, dlaczego? — A tam inny ni stąd ni zowąd legitymuje się w Heraldji Lubiczem, zamiast tradycyjnym Trzywdarem. Poco? Już prędzej rozumiem tego z tą panną: zakochał się, chciał się jeszcze bliżej przytulić, nietylko ciałem, ale i klejnotem. To jest nawet ładne. Ale ten z Trzywdarem? Jak to wytłumaczyć?

Czy szlachta wyginęła? — Nie. Żyje. Maszyna Singera w stołowym pokoju, obiad pomiędzy drugą a piątą, pytanie przez drzwi „kto tam"? i wogóle nieotwieranie „takowych" chyba tylko za jakimś tajemniczym umówionym znakiem. „Pana niema w domu" — kiedy pan jest, i nawet wcale nie zajęty, tylko tak, że właśnie „pana niema w domu". To wszystko jest rozgardjasz szlachecki, mistyka dworkowego nieładu. Szkoła niechlujstwa powiecie? — Trochę i tak. Ale nie śpieszcie się zanadto tępiciele wy moi. Z przykrością stwierdzam bowiem, że nic w was niema prócz pośpiechu.

Kiedy chcecie powiedzieć coś bardzo światoburczego, to mówicie „mocarny" „śmigły" i „wartki"Uee, jak mówią w Poznaniu.

No i takeśmy przedyskutowali naszą dyskusję tygodniową przy resztkach wina, zagryzając daktylami i przeglądając herbarze.

Redaktor „Pionu", kiedy się z nim widziałem przed świętami, uśmiechnął się z przyjacielska — ironicznie i powiedział mi wyraźnie: wie pan, coś świątecznego, pogawęda coś tego, bez „płaszczyzn ideowych".— Rozumiem, rozumiem, odrzekłem grzecznie i uspakajająco. Oto geneza dzisiejszej dyskusji.

Zresztą i to nieprawda. Redaktora wogóle nie widziałem przed świętami, tem samem nie mógł się do mnie uśmiechnąć, ani tembardziej wypowiedzieć słów zacytowanych.

Ot, poprostu, „podszedł" temat.

J. E. Skiwski

# NA SCENACH STOLICY

**„Rodzina" — komedja w 3-ch aktach Antoniego Słonimskiego na scenie Teatru Nowej Komedji. Reżyserowała St. Perzanowska. Dekoracje Pika. (Dn. 19. XII. 1933).**

Gdy w okresie pisania „Wieży Babel", Słonimski zajmował nieprzejednane stanowisko wroga teatru, łatwo to było zrozumieć: można znienawidzieć sztukę, której oddaje się najpiękniejsze swoje marzenia i najlepsze elementy swojego talentu, nie otrzymując wzajemności. Od „Murzyna warszawskiego" datuje się mniej zrozumiałe zainteresowanie Słonimskiego dla teatru w sensie pozytywnym — dopiero teraz, po ostatniej „Rodzinie", zainteresowanie to staje się jasne.

Poprostu scena teatralna dostarcza autorowi „Kronik" tych narzędzi przekonywania, których brak mu na każdym kroku w pracy publicystycznej. Trudno naprzykład, nawet operując tylko dowcipami, mającemi zastąpić argumenty, udowodnić, że pochodzenie rasowe człowieka jest czemś co wogóle nie istnieje — na scenie zaś można kazać staremu żydowi-młynarzowi ucharakteryzować się i ubrać na Piasta-kolodzieja z szopki czy obrazów Stryjeńskiej, by zagadnienie zostało rozwiązane ku zadowoleniu autora. Można szlachcica-oryginała pokazać jako djabła Borutę z semickim nosem, a odwrotna strona tezy zostanie przeprowadzona. Wreszcie — w jakim to rodzaju literackim poza farsą można swobodnie posiłkować się efektami qui pro quo jako materjałem dowodowym? Przecież tylko na scenie Hennequinów i Labichów można wszystkich poprzebierać do niepoznania, jak to Słonimski zrobił w swej „Rodzinie": wszystko tam jest dziwne i niesamowicie paradoksalne — jakaś abstrakcyjna spelunka ma być podobno wsią polską, jakiś żyd polski — niemieckim hitlerowcem, jakiś polski arystokrata bolszewickim dyplomatą, jakiś deklamator zabawnego rebusu pojęć — właśnie wojewodą, a byśmy się potem mogli dziwić i zdumiewać że tak trudno było poznać ich prawdziwe oblicza. Tak — scena pod tym względem otwiera nieograniczone możliwości.

Sprawiedliwość każe przyznać Słonimskiemu, że dwie postacie przeniósł z pietyzmem z komedji Przybylskiego — to ta ciotka pisząca wiersze i podlotek o szlachetnem serduszku. Ta Marysia zwłaszcza jest prawdziwą ozdobą przedstawienia: można, zamknąwszy oczy, przysiąc, że to p. Słonimski odczytuje swoje najulubieńsze kroniki tygodniowe z repertuaru pacyfistycznego.

W „Lekarzu bezdomnym" Słonimski próbował naprawdę stworzyć shawowską komedję dyskusyjną. Kiedy się nie udało, sięgnął do arsenału swego niewątpliwego, choć coraz częściej kopjującego obce wzory, dowcipu. Ale i na tej najmocniejszej fortecy, skoro się uzyskało oficjalny tytuł „najdowcipniejszego człowieka na świecie" i to od olimpijskiego rekordzisty, nie można lekceważyć przeciwnika — przecież słynne kawały popularnego bywalca IPS'u słyszy nie tylko autor „Rodziny" — nie wypada, aby tak świetne anegdoty, jak tę o lesie, znał widz już na kilkanaście lat przed premjerą.

Nie ulega wątpliwości, że Słonimski powoli przestanie uprawiać publicystykę na łamach pisma i całkowicie przerzuci się na scenę: postaci sceniczne są o wiele posłuszniejsze od zwykłych ludzi, a fantastycznie podmalowana dekoracja wprowadza widza w rzeczywistość urojoną, w której nie trzeba koniecznie poszukiwać sprawdzianów życiowych. Również konsekwentność myślenia jest tu o wiele trudniejsza do sprawdzenia: oskarżyciel polskiego imperjalizmu, węszący polską zaczepliwość w stosunku do sąsiada wschodniego i zachodniego przy każdej sposobności, o wiele łatwiej w teatrze przerzuci się na drwiny z polepszania się stosunków sąsiedzkich Polski. A wśród głośnego śmiechu rozbawionej widowni nikomu nie przyjdzie do głowy zapytać się autora o co właściwie mu chodzi, co zwalcza naprawdę, a co pochwala. Czyżby to owa mgła polska, o której mówi Słonimski tak tęsknie pod koniec „Rodziny", że przysłania horyzonty, zaszkodziła i jemu? Czyżby naprawdę już tak zupełnie wrastał w polski krajobraz?

Trzy czwarte śmiechu widowni zawdzięcza Słonimski wykonawcom. Kapitalnej w epizodzie Modzelewskiej, doskonałemu Jaraczowi, zabawnemu Sielańskiemu, dobrej Dąbrowskiej. Ale i pozostali wykonawcy byli conajmniej poprawni i nie przeszkadzali autorowi w jego ożywionych najlepszemi chęciami usiłowaniach.

•

**„Nigdy nic niewiadomo" — komedja w 4-ch aktach Bernarda Shaw'a na scenie Teatru Narodowego. Przekład F. Sobieniowskiego. Reżyserja W. Węgierki. Dekoracje Z. Węgierkowej. (Dn. 30.XII 1933).**

Pomysł przeciwstawienia staremu Shawowi Shawa młodego jest oczywiście interesujący dla wszystkich zwolenników jego teatru. Zwłaszcza że obaj panowie Shaw wychodzą z tego pojedynku obronną ręką: autor „Nad przepaścią" jest tęgim djalektykiem współczesności, autor „Nigdy nic niewiadomo" dowcipnym feljetonistą obyczajowości. I trzeba mu to jeszcze przyznać: jak „Nad przepaścią" nie ma w sobie żadnych cech starości, tak „Nigdy nic niewiadomo" nic nie straciło na swojej młodości — widać nietylko sam Shaw, ale i jego ideje, są długowieczne.

Tylko nie poszukujmy (według terminologji cytowanej przez Irzykowskiego) logikulstwa w twórczości Shawa: Shaw broni swojego światopoglądu z pasją, ma jednak poczucie ułomności sądów ludzkich i przy niczem zbyt długo się nie upiera. Gdy przed dziesięciu laty jedna z polskich firm wydawniczych zwróciła się do Shawa z prośbą o autoryzację na wydanie jednego z wcześniejszych jego dramatów, odpowiedział, że do treści tego utworu już się nie poczuwa i że wobec tego honorarjum za tę książkę pobrać nie może. Wyjątkowo rzadko pamięta się o tem słuchając tej miłej komedji o zwaśnionej rodzinie i o powróconym na jej łono ojcu: koncepcja rodziny pozostała u Shawa prawie ta sama, czy to będzie rodzina premjera w czasach szalejącego kryzysu, czy też zwykła przedwojenna angielska rodzina opływająca w dostatki, zawsze będzie to wyładowujący się bez przerwy zbiornik samolubstwa, który bez tęgiego wentyla groziłby napewno pęknięciem. Tylko że w tej beztroskiej komedji wentylem jest postać najzupełniej nieszkodliwa i wielce sympatyczna — to kelner Boon, który z niezwykłym taktem i umiarem sprowadza wszelkie burze i konflikty do jednego podstawowego pytania: kto czego się napije?

Przedstawienie w Teatrze Narodowym miało jedną wielką zaletę i jedną wadę. Zaletą była przedewszystkiem reżyserja p. Węgierki, bardzo pomysłowo rozbijająca djalog Shawa na sytuacje toczące się lekko i dowcipnie. Wadą była nierówna obsada: obok doskonałej p. Jarkowskiej i bardzo dobrego p. Wesołowskiego, zaledwie o p. Lubieńskiej można powiedzieć, że była na właściwem miejscu. Inni wykonawcy, choć czynili co mogli, nie odpowiadali zamierzeniom autora. Ale bo też obsadzić tę komedję jest niezmiernie trudno: choćby taki p. Roland, zdolny i obiecujący artysta, jednak najzupełniej innego typu, niż Filip Clandon; w oczach jego maluje się tyle świadomości w postępowaniu, że zamiast beztroskiego łobuza otrzymujemy w rezultacie filuta, który nas cały czas niepokoi zbliżającą się niespodzianką — choć niespodzianka ta się nie spełnia.

Osobne słowo należy się p. Maszyńskiemu. Zarzucą mu niewątpliwie, iż z roli pierwszoplanowej uczynił postać ukrytą w cieniu. Istotnie, w ruchu scenicznym p. Maszyński nie odegrał większej roli, serwując dowcipy ręką umyślnie wiotką i pozbawioną energji. Ale całość na tem nie straciła — była to ofiara ze strony doskonałego artysty na rzecz harmonijnej całości.

Drugi akt przygotowała p. Zofja Węgierkowa z subtelnem poczuciem estetyki luksusu.

•

**„Towariszcz" — komedja w 4-ch aktach Jakuba Devala na scenie Teatru Letniego. Przekład B. Gorczyńskiego. Reżyserował E. Chaberski. Dekoracje K. Gajewskiego.**

Ta ciesząca się wielkiem powodzeniem w Paryżu komedja nie jest dowodem kurtuazji Francuzów wobec emigracji rosyjskiej: jakkolwiek Deval nie odmawia swoim rosyjskim bohaterom cech wybitnie dodatnich i sympatycznych, jednakże traktuje ich tak groteskowo, tak protekcyjnie, iż nawet momenty heroiczne ich historji stają się raczej powodem do śmiechu: ten książe rosyjski, który nie tyka zdeponowanych przez cara na jego imię czterech miljardów franków, a wyłudza od pokojówki setkę na najpotrzebniejsze wydatki, pozbawiony został przez autora wszelkiego prawa do nagrody za bohaterską uczciwość — raczej wychodzi na głupca, który czyni sobie skrupuły ze spraw świętych tylko w jego oczach. A może Deval stoi całkowicie po stronie rosyjskich monarchistów i demonstruje ich od najlepszej strony na paryskim bruku? Bynajmniej. To wszystko, co jest dla księcia Uratjewa i Wielkiej Księżny świętością, podane jest w tak farsowem ujęciu, stosunek autora do dworu carskiego, arystokracji rosyjskiej, wyznania prawosławnego, nawet do armji rosyjskiej jest tak różny od stosunku przeciętnego Francuza z przed wielkiej wojny, że bodaj zaczynamy go podejrzewać o przeciwną sympatję dla towarzysza Goroszeńki i jego czekistowskich metod.

Ale komedja Devala bynajmniej nie jest prosowiecka. Ten komisarz naftowy jest raczej antypatyczny, tak antypatyczny w postępowaniu, że jedyny moment w sztuce, który posiada głęboko ludzkie akcenty — rozmowa pomiędzy przedstawicielami starej Rosji i nowej Rosji w akcie ostatnim, brzmi przez chwilę tylko jak triumf interesu państwowego nad poglądami jednostek, aby zaraz potem zadźwięczyć popodejrzanym śmiechem przekory. I znów nie wiemy, czy mamy do czynienia z heroizmem, czy też głupotą człowieka, który wydał wrogom Rosji carskiej carskie pieniądze, choć przedtem odmawiał ich przywódcy rosyjskich monarchistów, aby za chwilę przebrać się w mundur generalski i beztrosko podążać na zabawę.

Jest w tej sztuce coś dwuznacznego i niezrozumiałego, co powinno było być przez reżyserję rozjaśnione. Ale reżyser sprawę jeszcze zaciemnił, kolory pomieszał, znaki zapytania uwypuklił, aby pozbawić „Towariszcza" największego jego atutu — sytuacyjnej brawury, która demaskuje świetny talent Devala silniej, niż jego pro- czy antirosyjska ideologja. Przedstawienie było szare, bezbarwne, nudne, nawet jakby stworzony do roli księcia Uratjewa p. Leszczyński nie miał zwykłego rozmachu, p. Ćwiklińska zaś, niepotrzebnie obsadzona w roli Wielkiej Księżny, zdobyła się tym razem zaledwie na umiar. Najzabawniejszy był p. Kurnakowicz, choć i on nie ma dostatecznych warunków na postać „socjalistycznego bankowca".

W. Z.

# AUTENTYCZNY TEKST PEWNEJ DEPESZY

Co za przykry wypadek!

Tak się przejmowały „Wiadomości Literackie" każdą naszą usterką i każdym błędem zecerskim czy korektorskim w Pionie! Od pierwszego numeru, od czasów ś. p. „Piotra Baryki", trzy razy już przez nich odgrzewanego, widać było, że nieomylne specc literacko-redaktorskie czytały każdy numer „Pionu" z lupą, smakując każdy nasz błąd, jak rodzynek, w dumnem i zadowolonem z siebie poczuciem, że u nich błędów niema!

Naiwne to było zadowolenie, a niesłychaną łatwizną wszystkie przycinki i dowcipki na temat tego rodzaju błędów, podpatrzonych u sąsiada. To też choć mogliśmy przypomnieć równie piękne na tem samem polu wyczyny „Wiadomości", nie odpowiadaliśmy im żadnemi złośliwostkami, jak to dość niedawno Puszkin był u nich Lermontowem i t. d. Wiedzieliśmy i wiemy, że jedynie w „Osservatore Romano" (i to też tylko w bullach papieskich) nie zdarzają się błędy podobne, a „Wiadomości" — choć mają „Dodatek katolicki" — jeszcze nie stały się polskim odpowiednikiem tego rzymskiego Monitora. I że dlatego — prędzej czy później — jakiś taki wypadeczek mieć będą.

Istotnie, nie trzeba było długo czekać.

W numerze noworocznym (1-szym a 528 ogólnego zbioru) zamieściły „Wiadomości" artykulik o ś. p. Włodzimierzu Koniecznym. Artykulik piękny choć krótki i zawierający takie drobne nieścisłości, jak to, że Konieczny poległ pod Polską Górą w r. 1916 jako członek Związku Walki Czynnej (w r. 1916 nie było już członków Zw. Walki Czynnej — lecz poprostu legjonistów!).

Otóż aby zilustrować dorobek malarski i graficzny Koniecznego — dano dwie reprodukcje. I tu jest katastrofa! „Oglądając ze wzruszeniem te skromne prace, pełne szlachetnych poszukiwań, poległego w 30 roku życia artysty", oglądają czytelnicy „Wiadomości" jedną rzecz — istotnie przez Koniecznego rysowaną, — druga jednak nie była nigdy i nie jest wcale jego dziełem. I gdyby to było przynajmniej coś nieznanego, coś reprodukowanego po raz pierwszy! Gdzie tam! — Jest to jeden z najbardziej znanych szkiców portretowych Komendanta, rysowany przez nieżyjącego również i również świetnego malarza legjonistę, późniejszego ministra Spraw Wewnętrznych, Kazimierza Młodzianowskiego.

Wpadunek jest tem większy, że nie potrzeba nawet być piłsudczykiem, aby wiedzieć czyj i co to za rysunek: na samej kliszy nawet bez szkła powiększającego można bowiem przeczytać wyraźny napis: „Swemu Komendantowi — Młodzianowski".

Lecz „Wiadomości" zrobiły go Koniecznym.

* * *

W numerze gwiazdkowym, jubileuszowym „Wiadomości" p. Antoni Słonimski pijąc do naszych błędów korektorskich podaje, że na „dziesięciolecie" wysłaliśmy im depeszę następującą:

„Janowi Grydzewskiemu życzenia utrzymania poziomu. Redakcja „Pionu". Mateusz Święcicki, Warszawa".

Pan Słonimski pomieszał widocznie depesze tak, jak Młodzianowskiego z Koniecznym. Depesza nasza bowiem wysłana była nie na gwiazdkę, a na nowy rok po przeczytaniu artykuliku o Koniecznym. I brzmiała inaczej a mianowicie:

„Znakomitym, choć niezupełnie młodzieńczym i niekoniecznie młodzianowskim kierownikom „Wiadomości Literackich", Antoniemu Grydzewskiemu i Mieczysławowi Słonimskiemu, autorowi autobiograficznej powieści: „Kiedy byłem Piłsudczykiem" przesyłają serdeczne wyrazy współczucia — Mateusz Święcicki i

**Andrzej Chudogęba".**

W ciągu roku bieżącego

**GAZETA POLSKA**

drukować będzie POWIEŚCI:

MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO

„Skandal w Wesołych Bagniskach"

JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

„Czerwone Tarcze"

POLI GOJAWICZYŃSKIEJ

„Dziewczęta z Nowolipek"

czas. 12442/2/2 60



# Na ekranach stolicy

**MOJE MARZENIE TO TY**
**(Kino Filharmonja)**

„Ty" jest przystojnym chłopcem, którego chce zdobyć Liljana Harvey wyłącznie dla siebie. Zresztą gra tak znakomicie, iż wcale się nie dziwimy ostatecznemu rezultatowi tembardziej, że interwenjuje w tej sprawie sam Amor przez duże A. Film miejscami reprezentuje wysoką klasę. Dotyczy to części ze śpiewającemi lalkami, która jest wręcz znakomita mimo pewnych, ledwo dających się uchwycić dłużyzn. Reżyserja wokalna sceny z lalkami bez zarzutu. Prawdziwa perełka sztuki kinowej. Pozatem film był trochę parnasowski. Niewiadomo dlaczego młody człowiek, który dla Liljanki był marzeniem (dla nas dryblasem), ciągle otaczał się ośmioma czy dziewięcioma dziewicami. Wyglądało to jakby strugał ze siebie Apollina, któremu towarzyszą muzy. Te ostatnie pełniły rolę wychowawczyń w stosunku do biednej małej bohaterki, ucząc ją każda w zakresie swej specjalności. Zasługują one na szczególną uwagę: były to rosłe i niesympatyczne typy które ukazane tłumnie, traciły resztę tego wdzięku, jaki może choć trochę każda z nich posiadała osobno. Ta parnasowa strona filmu tembardziej była rażąca, że niewiadomo skąd ta cała banda się wzięła. Zupełnie jak z autentycznym Apollem i muzami. Żaden Grek nie znał dobrze początku tego całego towarzystwa, którego specjalnością było piękno i sztuka. Zdaje się, że i my nie będziemy wiedzieli, co było na początku w głowie autora scenarjusza i reżysera. Zresztą nie chodzi tutaj o głowę ile o kieszeń, która także może być źródłem wiedzy i piękna.

**WYROK ŻYCIA**
**(Kino Atlantic)**

Prawie połowę seansu zajmuje reportaż francuski firmy Pathé-Natan, poświęcony Pomorzu i uzasadnieniu, że ziemia ta jest od wieków całych polską. Wyjazd ekspedycji filmowej z Paryża, przyjazd do Warszawy, gdzie zaraz przy rewizji paszportów komisarz policji wygłasza do Francuzów agitacyjną mówkę (zapewne pomysł polski), następnie Pomorze od Torunia po Gdynię — wszystko splecione w logiczną i kulturalnie zrobioną całość. I przytem żadnych cudów technicznych czy reżyserskich. Dlaczego więc nie potrafią tak tego robić u nas? Udany ten reportaż kończy się doskonale zrobioną wizją obrony granic polskich przez lotnictwo i kawalerję. Szarża ułańska jest wręcz porywająca, a muzyka podkreślana warkotem motorów lotniczych świetnie ilustruje szał wojny. Szwoleżerowie jadący morzem i dany na zakończenie pejzaż z pracującemi w polu ludźmi, są wyrazem pokojowej pracy Polski. Reportaż, mając na celu podkreślenie wiekowej przynależności Pomorza do Polski z jednej strony, a z drugiej przedstawienie wysiłków żyjącego pokolenia wokoło obrony, organizacji i postępu tej ziemi, musnął zaledwie objektywem pejzaż pomorski, ale to, co dał jest godne podkreślenia.

Po tem reportażu był film naszej rodzimej produkcji, gdzie bardzo pięknie reżyser pokazał nam Kraków. Jeśli chodzi o treść, to zostało nam wytłumaczone, jak powstają w Polsce nieślubne dzieci i co trzeba z niemi zrobić. Przepis jest prosty: jedna kobieta, jeden mężczyzna, niedziela, wycieczka za miasto, las (koniecznie — bez krzaczków jest niemożliwy np. pocałunek). Wszystko to dodać, zmieszać (oczywiście z błotem), a wynik: nieślubne dziecko, sąd, kara śmierci. Treść filmu jest dowodem, że idea świadomego macierzyństwa nie przeniknęła do sfer filmowych. Wystarczyłoby wszak, aby Jadzia Andrzejewska udała się do doktora Rubingwałta, a ten założyłby jej poradnię jak się patrzy. Poco tak ciągle płakać. Przez cały film ze łzami w oczach jest bardzo męczące, szczególnie dla publiczności, która żyje pod wpływem „świadomości". P. Eichlerówna była wziętym adwokatem, oczywiście przez swego męża i to w ramiona przy każdem powitaniu i pożegnaniu. Natomiast, aby dzielna adwokatka była wzięta przez klijenta — tego nie udało się nam zauważyć. Mąż szlachetnej adwokatki zagrał rolę architekta jak prawdziwy mężczyzna. Był to zresztą rodzaj architektury wnętrza, którą uprawiał. Oczywiście kobiecego wnętrza. Zdaje się, że pracował bez planów i dość chaotycznie, dlatego naraził się na katastrofę. Na zakończenie reżyser dopuścił się nieostrożności, puszczając p. Andrzejewską znów samą jakąś pustą drogą w kierunku lasu. Kto wie, co z tego może wyniknąć? Aby tylko nie film o podobnym scenarjuszu z niemowlętami w opałkach i z ideją przypominającą koszałki-opałki.

# CZY ZDEMASKOWANIE CONRADA...?

Pod archaicznym tytułem, w oryginalnym kształcie typograficznym podaje Merkuryusz Polski Ordynaryjny interesujące aktualności i ciekawe oświetlenia najrozmaitszych faktów współczesnego życia. Piękna polszczyzna, zdrowy rozsądek w uśmiechu dickensowskiego humoru i dużo niewspółczesnego taktu w podjazdowej walce czynią z tego tygodnika zjawisko wyjątkowo sympatyczne. Tem więcej dziwić się należy, iż w pierwszym już zeszycie „Merkurjusz" wystąpił lekkomyślnie przeciw Conradowi, drukując skwapliwie i z aprobującym komentarzem artykuł Uptona Sinclaira rzekomo demaskujący autora „Lorda Jima". Ów artykuł ma być rozdziałem, poświęconym Conradowi, z książki p. t. „Mamonart", której cały nakład został podobno wykupiony i zniszczony przez jeden z banków amerykańskich, a z ocalonych kilkudziesięciu egzemplarzy — jeden przywędrował do Warszawy.

Aby się zorjentować jakie zarzuty czyni Conradowi pisarz, zawdzięczający światową sławę jedynie szlachetnej tendencji swych utworów, pozwolimy sobie zacytować szereg jego uwag i sądów.

„Niektórzy krytycy utrzymują, że Conrad był typowym artystą, zwolennikiem „czystej sztuki", który stwarzał fikcję bez cienia tendencji. Mojem zdaniem, Józef Conrad był zdeterminowanym kierownikiem propagandy, który posługiwał się fikcją, jako narzędziem.

„W powieściach Józefa Conrada bogowie zmaleli, jakby rozsypywali się w proch. Nad Wszechświatem króluje ciemny, niepojęty i nieodgadniony los. Sam Conrad określił to w słowach: „Podstępna Nemezis czai się nad światem". Jak widzicie tu nawet (?) posługuje się symbolami klasycznemi. Wspólny lęk łączy cztery narody: Greków, Polaków, Anglików i Malajczyków (?). Podstępna Nemezis dziejowa jest wrogiem ludzi, którzy walczą z nią bezskutecznie". „Lecz nie pozwólcie wprowadzać się w błąd. Wzniosłe dzieła sztuki są powieściami tendencyjnemi, napisanemi z celem dydaktycznym".

„Jeśli zaczniemy analizować jego nowele i powieści w świetle ekonomji, to spostrzeżemy, że „Podstępny los" jest zorganizowaną mafją, która eksploatuje niezorganizowaną głupotę. Weźmy np. jedną z najbardziej frapujących nowel Conrada p. t. „Młodość". Młody człowiek wypuszcza się na morze na starem pudle, które dosłownie rozlatuje się w kawałki. Młody człowiek nic sobie nie robi z niebezpieczeństw, okręt idzie na dno, ale młodość zwycięża i szydzi sobie z podstępnego Losu. Kiedy czytaliśmy tę nowelę w młodości, serca nam rosły i czuliśmy się bogami. Jeżeli jednak przeczytać ją w wieku dojrzałym wówczas dochodzi się do wniosku, że okrutna siła, którą uważaliśmy za żywioł, jest poprostu jednym z przejawów działalności, wywołanej istnieniem kompanij ubezpieczeniowych".

„Powtarzam z całą stanowczością: gdyby nie wyścig linij okrętowych o zyski — niebezpieczeństwo podróżowania po morzu należałoby do przeszłości, a „Podstępny Los" Conrada rozsypałby się w proch. Co więcej: gdyby nie propaganda romantyzmu morskiego, propaganda subsydjowana przez armatorów, odbierać premje asekuracyjne byłoby znacznie trudniej. Byłoby mniej szaleńców, wierzących w „Podstępny Los", a więcej ludzi trzeźwych, patrzących na ręce Kapitanów Marynarki Handlowej".

Z pewnością dobrej sławie Conrada a tembardziej powadze jego artyzmu nie grozi z powodu podobnego ataku żadne niebezpieczeństwo. Podejrzaną wydaje się jednak sama napaść, z której zacytowane fragmenty nie są bynajmniej bardziej mętne od artykułu czytanego w całości. I może nie wartoby mówić o całej sprawie, gdyby nie fakt, iż zkolei krytyk, J. N. Miller podjął („Robotnik" z 23 ub. m.) oskarżenie, rzucone przez Sinclaira, przyznając mu „oryginalność oświetlenia" i „czysto socjalistyczny punkt widzenia". — „Cytując z upodobaniem słowa Sinclaira — mówi Miller bezpośrednio po przytoczonych fragmentach — stwierdzamy zarazem, że socjaliście trudno obronić się przed przekonywującą siłą tej argumentacji".

Upodobania mogą być najdziwniejsze, są jednak kwestją subjektywną, ale przyznanie gołosłownym inwektywom rangi argumentów oraz nazwanie „czysto socjalistycznym punktem widzenia" czyichś podejrzeń, iż ktoś brał od kogoś pieniądze — wygląda conajmniej na degradację metod socjalistycznego światopoglądu.

Nie wyjaśnia ani nie ratuje postawy p. Millera fakt, iż nieco dalej próbuje on cofnąć się z zajętej pozycji i zarzuci Sinclairowi „prymitywizm myślowy", aby mimo to cieszyć się znów z tego „głosu trzeźwej refleksji" i uważać go za rewelację krytyki. Wszystko byłoby w porządku, gdyby choć najprzykrzejsze odkrycia były rzeczywiście oparte na argumentach i dowodach.

Jakże wyglądają zarzuty Sinclaira w świetle jedynie zdrowego rozsądku?

„Mojem zdaniem Józef Conrad był zdeterminowanym kierownikiem propagandy" i t. d. — Powiedziane mocno, czy jednak mamy wierzyć temu na słowo?

Sinclair zarzuca dalej Conradowi, że utworami swemi dla dobra kapitalistów propaguje wśród marynarzy kodeks moralny, „którego naczelnym nakazem jest solidarność posłuszeństwo i zaufanie".

— „O jakim to kodeksie mowa? — O kodeksie angielskiej marynarki handlowej"!

Może to odkrycie brzmi nawet miażdżąco, ale czy istnieje gdzieś na świecie marynarka i okręty, nie wyłączając republiki sowieckiej, gdzieby poddawano w wątpliwość moralną i społeczną wartość tych nakazów.

Sinclair jest zapewne dobrze poinformowany o zbrodniczych machinacjach armatorów, wysyłających na morze okręty, których stan grozi katastrofą. Lecz gdyby tak żył w nieświadomości podobnych faktów, to właśnie od Conrada dowiedziałby się, wedle przykładów „Judei" czy „Patny", jakie to okręty-trumny pływają po różnych morzach świata. Z historji zaś statku „Sagamore" w noweli „Wspólnik", mógłby już snadniej wnosić, że nie od armatorów brał Conrad subsydja lecz od.... towarzystw ubezpieczeniowych. — A może skądinąd był on także na usługach związku właścicieli statków żaglowych i dlatego źle się wyrażał o parowcach?

Cokolwiek myślałoby się o potędze złych mocy armatorów w zestawieniu z fikcyjnością Losu i niewinnem obliczem żywiołu, można wątpić czy akcjonarjusze towarzystw asekuracyjnych ulegli propagandzie Conrada. Jeśli zaś okazała się ona skuteczną w stosunku do marynarzy statków handlowych, to zaiste podziwiać należy niezwykle wysoki poziom lektury w angielskiej marynarce.

O stosunku Conrada do kapitalizmu w ogólności zbyt wiele trzebaby powiedzieć, aby można sobie było na to w tej chwili pozwolić. Trudno jednak nie zwrócić uwagi choćby na „Nostroma" lub na wspaniałe „Jądro ciemności", gdzie z dantejską ekspresją niesamowitego snu odsłania Conrad jeden z zakamarków piekła nowożytnego merkantylizmu.

W Polsce jest Conrad pisarzem elity czytelniczej i ma za sobą podziw i uznanie niemal całej krytyki. Wielu znajdzie się jednak kulturalnych czytelników i nawet abonentów czasopism literackich, którym brak predyspozycji do obcowania z jego arcydziełami i którzy skłonni są je uważać za lekturę ciężką i nudną. Wdzięcznem zadaniem dla pisma a przedewszystkiem dla krytyka byłoby torowanie drogi genjalnemu pisarzowi wśród tych uprzedzonych czy niedysponowanych czytelników — lecz oczywiście byłoby niewłaściwością narzucanie komukolwiek tej roli. Równie dobrze można zająć krytycznie negatywne stanowisko wobec twórczości Conrada, zwłaszcza gdy się uważa, że jakaś metoda — nawet w wulgarnej formie zastosowana — odsłania nowe perspektywy. Na razie trudno się z tem zgodzić. Byłoby tedy pożądanem, aby J. N. Miller, zamiast pomagać na cudzy rachunek w szerzeniu conajmniej dziwacznych sądów i odstręczającej a na niczem nie opartej — plotki, zechcial na własną odpowiedzialność podjąć próbę poważnej marxistowskiej analizy.

Jestem skłonny uważać Conrada za pisarza ponadklasowego, lecz mimo sceptycyzmu co do wyników takiej próby sądzę, iż wielbiciele Conrada przyjęliby ją z wielkiem zainteresowaniem.

**J. M. Toporowski**

# KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

**POEZJE:**

**Bronisław Poletur** — Polska od serca do serca. Poezje.
**Ignacy Fik.** — Kłamstwa lustra. Poezje. Kraków 1932.
**Albin Dziekońskj** — Dwa głosy. Poezje. Warszawa 1933.
**Albin Dziekoński** — Elegje. Poezje. Warszawa 1929.
**Albin Dziekoński** — Eklogi. Poezje. Warszawa 1931.
**Albin Dziekoński** — Motywy z miasta. Poezje. Warszawa 1931.
**Albin Dziekoński** — Na zachód. Poezje. Warszawa 1932.
**Józef Sulerzyski** — Mój chrzest ogniowy. Poznań 1933.
**Michał Piotr Dworakowski (EMDE)** — Sonety Wojenne. Kalisz 1934.
**Kazimierz Wierzyński** — Gorzki urodzaj Warszawa MCMXXXIII. J. Mortkowicz.

**POWIEŚĆ, NOWELA:**

**Hubert Adams** — Zemsta. Powieść. Rój 1934.
**J. O. Curwood** — Dziewczyna z poza szlaku. Powieść. Rój. 1934.
**Anastazja Drewnowska** — Dwie pokusy. Powieść. Rój 1934.
**Władysław Jan Grabski** — Bracia. Powieść. Rój. 1934.
**J. Kessel** — Książęce noce. Powieść. Rój 1933.
**W. J. Locke** — Dziki amos. Powieść. Rój 1934.

**DRAMAT:**

**Andrzej Rybicki** — Kostjum Arlekina — Dzień dobry. Biała Sowa. Instytut Literacki. 1934 r.
**Angelo di Zetto** — Marmury zostaną spokojne. Utwór sceniczny w 4 aktach. 1931 r.

**BIBLJOTEKARSTWO:**

**Helena Radlińska** — Książka wśród ludzi. Wyd. II. Warszawa 1934.
**Janina Skarzyńska** — Jak czytać książki i gazety. Warszawa 1934.

POEZJA
ALBIN DZIEKOŃSKI
DWA GŁOSY
Cena zł. 2.–
GEBETHNER I WOLFF

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Hurtownia
dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.
w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarniom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
DLA KSIĘGARZY P. T.
„KURJER KSIĘGARSKI".

**Redakcja.** Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
**Administracja.** Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.
Redaktor: **Tadeusz Święcicki** Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty **Juljan Zielski**
Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10



R